Nr. 13. Warszawa, dnia 18 (31) Marca 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 7.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: POLITYKA: Wojna w Afryce, IV. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: Duchy. Część czwarta: Koniec świata (ciąg dalszy), p. Aleksandra Świętochowskiego. — ŻYCIE SPOŁECZNE: Czy istnieje u nas pijaństwo? p. Zen. Pict. — Z życia Francyi, p. K. Radosławskiego. — Lex Heinze, p. H. F. — FEJLETON: Liberum veto, p. Posła Prawdy. — LITERATURA I SZTUKA: Literatura niemiecka, p. Malwinę Posner-Garfejnową. — Przegląd teatralny, p. A. N.—Notatki literackie i artystyczne. — SPRAWY EKONOMICZNE: Ogniska przemysłowe, p. Stanisława Koszutskiego. — Kronika. — Ogłoszenia.

Szan. Abonentów kwartalnych prosimy o wniesienie przedpłaty.

Administracya kupuje po cenie sprzedaży Nr. 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10 i 11 Prawdy z roku bieżącego.

POLITYKA.

Wojna w Afryce.

IV.

Działania wojenne od miesiąca, od poddania się Cronjego pod Paardebergiem w d. 27 lutego, ustały. Ani na wschodniej widowni, w Natalu, ani na środkowej, na liniach, któreby z zajętego w d. 13 b. m. przez Robertsa Bloemfontein rozwijać się musiały, ani na południowej, wschodni róg pogranicza Oranii a Przylądkiem zajmujący, ani wreszcie na dalekim zachodzie, już po za Vaalem i zachodnią granicą Transwalu, około Mafekingu — nic stało się już od miesiąca nic, coby ślad głębszy zostawiło w naprężonej ciekawości powszechnej. Były wstrząsające nawet pogłoski, ale nie było dotychczas chociażby tylko zajmujących faktów, któreby wojna za swoje uważać miała prawo. Tak np. dla podniesienia przygnębionego w pierwszej chwili po nieszczęściu lutowem ducha Boerów, zwłaszcza orańskich, puszczono w lot pogłoskę o osaczeniu Gatacre'a przez Oliviera na trzeciej z wymienionych wyżej widowni; a znowu dla przyjemności Anglików obdarzono Londyn kaczką o zajęciu przesmyka van Reenen w górach Smoczych, pomiędzy pierwszą widownią wojenną a drugą. Nie brakło też i telegramów to o wzięciu, to znowu o oswobodzeniu Mafekingu.

Wszystkie takie większe i mniejsze kłamstwa, potrzebne dziennikom do bawienia dzieci, zarówno młodych jak starych, a tych chyba jest więcej, niż tamtych — pchały tylko sztucznie potok, który własną siłą płynąć nie chciał. Wojny od miesiąca niema, jeżeli wojną ma być ruch wojsk, a nie zajmowanie pozycyi. Możnaby tylko o owym Olivierze, który się spóźnił z odwrotem z nad Orange, powiedzieć, że walczy z Anglikami, bo im się wymyka. Czy się wymknie stokami zachodnimi Drackenbergu — bądź przez Oranię, bądź przez Basutonię — pewności niema. Powrót Frencha pod Bloemfontein z wycieczki w stronę Oliviera i milczenie o postępach Gatacre'a pozwalają na domniemanie, że na krańcu wschodnim Oranii nie powtórzy się w mniejszych rozmiarach to, co się stało na zachodnim w większych. Ale zarówno wzięcie lub oswobodzenie Mafekingu, jak dostanie się do niewoli lub szczęśliwe ocalenie Boerów, tak tu, jak na wschodzie, zupełnie od kraju odrąbanych, na postać właściwej widowni wojny nie wpłyną. Leży ona dotykalnie w Oranii i w Natalu, idealnie, rozumowo rozpościera się już teraz i na Transwal. Figura strategiczna Boerów zawczasu ogarnąć musi całość tego obszaru, którego bronić, o który walczyć potrzeba.

Gdy się spełnił niepowstrzymany w porę pochód Robertsa na Bloemfontein, Boerowie musieli zająć pozycyę, na północ od drogi pochodu, ale znacznie wyżej po nad Boshofem, Brandfortem i Vinburgiem, które okoliczności przeważnie same wskazywały Cronjemu do zajęcia, gdyby nie był wpadł w ów nieszczęsny kocioł pardeberski. Siły boerskie, do obrony Transwalu przeznaczone, stanęły pod Kroonstadem, o jakie trzydzieści mil na północo - zachód od Bloemfontein. Na południkowej wysokości Kroonstadu leży ów północny, historyczny róg Natalu, historyczne wrota Transwalu, pogranicze północne owej pierwszej widowni wojennej, na której Ladysmith tak wielką odegrało rolę. Wrót tych, widowni tej bronić potrzeba do ostatniej kropli krwi, i potrzeba ją obronić, jeżeli stopa angielska nie ma tędy wedrzeć się do Transwalu, a obrona pod Kroonstadem w dalszym swym rozwoju, już bojowym, nie ma być, tylko dzielnem wypełnieniem obowiązku bez ognia wiary, bez światła nadziei. Obie widownie muszą mieć z sobą czucie, dążyć do ideału wszelkiej strategii: do zespolenia ruchów na całość obszaru w jedną całość pomysłów i działań. Dlatego samo zajęcie Kroonstadu i samo trzymanie się w północnym Natalu nie wystarczają: przypuścić wypada, że Boerowie kronsztadcy są panami całej linii Kroonstad-Lindley-Bethleem-Harrismith. Ten krańcowy punkt zwłaszcza ma dla nich niesłychaną wagę. Rozerwanie linii tu wskazanej przez Anglików byłoby złem wielkiem. Posiadanie jej da pewność w działaniu na krańcach. Strategiczne panowanie na niej wypromieniać się może nawet na Hoopstad i Wynburg — ku zachodowi i południu.

Rozstawienie sił angielskich musi być zastosowane do powyższego szyku strategicznego Boerów. W Natalu ustawiła je już przeszłość spełnionych wypadków. Najważniejszemi tu są dwa punkty: wąwóz Van Reenen prowadzący do Harrismithu, i wąwozy w Biggarsbergei w ich północnych pędach. Położenie samo nasuwa niebezpieczeństwo obejścia Boerów od wschodu przez Zulunię i południowo-wschodni worek terytoryalny Transwalu: dlatego przynajmniej Vryheid silnie obsadzić powinni. Gdyby po krwawej, rzetelnej obronie je-

dnę lub drugą linię obronną nieprzyjacielowi wydać, musiano, obowiązkiem obu mas wojujących będzie dążenie ku sobie w kierunku północnym a współśrodkowym. Obrona we właściwym Transwalu ma jeszcze przed sobą długą przyszłość. Obliczono, że od 9 listopada 160,000 wojska, popłynęło do Afryki, razem z temi 22 tys., które teraz jeszcze płyną. Straty, do których się sama Anglia przyznaje, wynoszą przeszło 20,000. Obecnie wszystkich Anglików w Oranii i Natalu nie może być więcej nad 100 tysięcy, z czego na służbę wewnętrzną, drogową, dowozową, policyjno-wojenną, na garnizony i straże 30 tysięcy strącić potrzeba: pozostałe 70 tys. nie wystarczają na spacer po krainie rozległej prawie jak Francya, mało zaludnionej, skazującej najeźdźcę na żywienie się dostawami własnemi, krainy nieujętej nawet przez topografię, w znacznej części, od zachodu i północy, stepowej, bezwodnej, a w częściach zaludnionych posiadającej wyborne warunki do podjazdowej wojny. Pół roku już prawie trwa walka. Czas ten nie wystarczył jeszcze stopie angielskiej na wkroczenie do Transwalu. Drugie pół roku zejdzie na wkraczaniu -- odpędzaniu i rozbijaniu nieprzyjaciela, którego Europa opuściła, ale nie opuści go Bóg — ten Bóg, który mieszka we własnej jego piersi. A tymczasem może i interes polityczny zmąci wodę i zagrozi, już nietylko pośrednictwem, ale jakim czynem w doniosłości swej równającym interwencyi zbrojnej.

Tydzień polityczny. W Oranii gen. Clements maszeruje na północ ku Bloemfontein-Ladybrand. Obecnie można już powiedzieć, że na południe od tej linii niema wcale Boerów. Doniesienie o pochodzie boerskim drogą Kimberley-Paardeberg dotyczy jakiejś drobnostki, po której śladu nie będzie za dni kilka. Tak samo angielska wieść o opuszczeniu Biggersberge przez Boerów jest czczą. Buller jakoby już zabierać się miał do działania. Boerowie burzą kopalnie natalskie; węglowe w Dundee uczynili już nieużytecznemi przez zniszczenie szybów i maszyn. Roberts wysuwa już straże przednie ku Brandfortowi O Olivierze niema jeszcze nic pewnego. Podobno przybył do Ladybrandu. Wydobyłby się więc już z dotychczasowego niebezpieczeństwa. Boerowie fortyfikują Johannesburg; Pretoryę mają już warowną. Pogróżki zniszczenia kopalni złota, uporczywie powtarzane, nawet w angielskiej Izbie niższej poruszyły już języki: rząd zapowiedział dochodzenie z osobistych majątków ludności holenderskiej Transwalu. Prawdy istotnej nikt nie zna.

Afrykanderzy odbyli wiec: zniesienie niepodległości obu rzeczypospolitych zaszkodziłoby żywotnym interesom Anglii. Ta mdłość dowodzi wątłości nadziei, pokładanych na braciach z Przylądka. Wiec liberalny w Nottingham wygląda jakby go złożyli Chamberleniści.

Telegram z Lourenço Marquez donosi o skonie Jouberta.

Komisya ugodowa czesko-niemiecka obradowała przez dwa dni: 21 i 22 b. m. Mówiono o szkołach, o języku autonomicznym i o języku rządowym, o języku wewnętrznym i zewnętrznym. Odczytano nową ordynacyę wyborczą do sejmu, aby przy szóstym już artykule poczynić zastrzeżenia zasadnicze. Wybrano dwie podkomisye, szkolną i językową. Przerwa kilkutygodniowa prawdopodobnie zepsuje i to, co tymczasowo tylko, nie krępując się niczem, za pożądane obustronnie uznano. Język urzędowy i język państwowy pozostają, jak były, wielkimi kamieniami obrażenia.

Austryacka Rada państwa d. 24 b. m. odroczona. Sejmy krajowe rozpoczynają dalsze posiedzenia zimowe. We Lwowie od 26 b. m. politechnika, zamknięta porywczo a nierozważnie przez rektora Niementowskiego, poszukiwanie żydówki Aratenówny w klasztorze żeńskim w Kentach, zniesienie notaryatu, ubezpieczenie od ognia, zgóry nakazane, i wreszcie współubolewanie z krajem i rodziną nad zgonem Floryana Ziemiałkowskiego — stanowią przedmioty zajęć sejmowych. Cesarz zatwierdził uchwałę przeszłego sejmu o pomnożeniu posłów z miast o 5 z dodaniem dwóch posłów wirylnych: rektora politechniki i prezesa akademii. Ziemiałkowski, z przestępcy politycznego minister, przeżył lat 83, a życie miał rozłamane na dwoje: młodość i z jej posiewu wiek męzki od r. 1838 do 1867 i, po krótkiem przejściu, od r. 1871—2 starość nieodczuwającą już żywego tętna czasu i szukającą dla Galicyi środka ciężkości po za Galicyą — w centralizmie liberalnym. Dużo się zmarnowało w tem życiu, poruszanem zdolnościami niewątpliwie wyższemi i charakterem czystym. Sejm wysłał deputacyę na pogrzeb w Wiedniu d. 29 b. m.

Do ligi państw usuwających się od pośrednictwa, prócz Stanów Zjedn., które przynajmniej z góry nie odrzuciły żądania Transwalu, przybyły świeżo Szwajcarya, Włochy; Holandya, Belgia. Przedtem już zapisały się do niej: Francya, Niemcy, Austrya. Rozprawy w senacie belgijskim d. 28 b. m. dały sposobność do przypomnienia ministrom obowiązku wdzięczności dla Anglii. Wdzięczność za dogmat, dochowywany w życiu, że Belgia do nikogo należeć nie będzie, tylko do Anglii!

We Francyi Loubet ułaskawił Christianiego, twórcę zamachu kijem, oraz jego towarzyszy; zlał także łaskę i na radykalistów Sebastyana Faure'a, którzy zbezcześcili kościół św. Józefa w Paryżu, w lecie r. z. — Waldeck-Rousseau otrzymał votum zaufania od Izby. Gabinet zostaje nadal w swym składzie. Chodziło o Martynikę i ruch na niej z przyczyn ekonomicznych, gwałtowny, burzliwy, ale dawno już uśmierzony.

Ks. Walii nie jedzie do Paryża na otwarcie wystawy. Stosunki są dość naprężone. Dziennikarze prawili o jakiejś wymianie usług, z której dla Francyi wyłoniło się Marokko; tylko Anglia chce dla siebie Ceuty i Tangeru hiszpańskiego. Wszystko to jest bajką.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

CZY ISTNIEJE U NAS PIJAŃSTWO?

Sprawozdanie urzędowe ze skarbowej sprzedaży spirytusu zawiera bardzo ciekawe cyfry, które dają nam sposobność zaznaczenia bardzo znamiennych zjawisk społecznych, natury czysto moralnej, wyrastających wszakże na gruncie ekonomicznym. Sprzedaż spirytusu ma przedewszystkiem ważne znaczenie pod względem czysto fiskalnym. W ciągu r. 1898 ogólny dochód państwa z tego źródła wynosił 102,163,763 rb.; więcej w stosunku do roku poprzedniego (52,447,767)

Aleksander Świętochowski.

DUCHY.

CZĘŚĆ CZWARTA.

KONIEC ŚWIATA.

WIDOK 10.

Nagle słońce wystrzeliło z pod ziemi i potoczyło się po niebie jak złota kula, tryskając promieniami, które oblały jasnością świat cały. Krysto stał nieruchomy i patrzył na zamek Orabu, którego wieża zabłysnęła w świetle poranku. Ścieżką spadającą od bramy szła spiesznie jakaś kobieta. Przebiegła ona wązką dolinę i zaczęła się wspinać na górę pustelni. Krysto dojrzał ją odrazu i śledził wzrokiem niespokojnym. W źrenicach migotały mu iskry, które gasły i znowu się zapalały.

Krysto.

Czuję go, widzę... jakiś smutek za nią idzie.

Orla weszła na wierzchołek góry zmęczona, chwytając powietrze krótkimi oddechami.

Orla.

Dzień dobry... Och, jakże mało mam sił dzisiaj.

Krysto.

Usiądź, pani, odpocznij.

Orla.

Wybacz, bracie, że cię niepokoję tak rano, ale potrzebuję co prędzej zasięgnąć twojej rady.

Krysto.

Zapewne w sprawie chłopów?

Orla.

W jakiej? Nic nie wiem, albo raczej wiem, że cierpię. Dziś mam kłopot własny.

Krysto.

Co się stało?

Orla.

Ach, Boże, jestem drobnem źdźbłem, a pioruny we mnie biją, jak gdybym była wielkim dębem.

Krysto.

Co panią spotkało?

Orla.

Przybyli posłańcy z rozkazem od króla, ażebym zaraz się stawiła przed nim.

Krysto zbladł i zatrząsł się gwałtownie. Powoli na jego twarzy wyraz gniewu zajął miejsce trwogi. Rzekł stłumionym głosem:

Krysto.

Rozumiem tego nędznika: dowiedział się, że Orabem rządzi piękna sierota.

Orla.

Jeden z posłańców wyznał mi tajemnie, że jestem oskarżona o rzucenie czarów na ks. Onto, który skutkiem tego miał zginąć.

Krysto zachwiał się jak gdyby ugodzony ciosem. Ale znowu oczy zabłysły mu zgrozą.

Krysto.

I to rozumiem: chce nad panią zawiesić miecz na niecnej swej łasce. Dwoma kluczami otwiera się ta podła natura: rozpustą i obłudą.

Orla.

Nawet twarzy księcia Onto nie widziałam, gdyż rozmawiał ze mną w przyłbicy.

Krysto.

Bo też o niego nie chodzi. Gdyby on nie był przepadł, oskarżonoby panią o sprowadzenie zarazy, głodu, jakiejkolwiek klęski. O, ja znam ten potworny łeb, zabijający samem swojem spojrzeniem, te zdradliwe kocie łapy, które dotykają miękko, a wbijają pazury głęboko.

Orla.

O kim ty, bracie, mówisz?

Krysto.

O tej sprawiedliwości, która panią przed swój sąd wzywa.

Orla.

Przecież ja jestem niewinna.

Krysto.

Z jej ręki śnieg wyjdzie sadzami.

Orla.

Przerażasz mnie. Z twoich ust, z których dotąd słyszałam tylko słowa obrony ludzi, padają straszne potępienia.

Krysto.

Tak, uniosłem się... Ale nie jedź pani.

Orla.

Czyż zdołam się oprzeć?

o 49,716,001 rb. Ta olbrzymia przewyżka pochodzi z wprowadzenia skarbowej sprzedaży spirytusu w 15 guberniach, mianowicie dziesięciu Królestwa Polskiego, czterech północnych i Charkowskiej. Na tych samych terytoryach organizacyi monopolowej sprzedano dziesięć milionów wiader spirytusu 40-stopniowego, za ogólną sumę 74,1 mil. rb., z których sam spirytus przyniósł 35,5 mil., akcyza 38,6 mil. Drugą przyczyną wzrostu dochodu jest to, że w sześciu guberniach północno-zachodnich (Wileńskiej, Grodzieńskiej, Kowieńskiej, Mińskiej, Mohylowskiej i Witebskiej), oraz w Smoleńskiej, w których monopol rządowy wprowadzono od 13 lipca r. 1897, sprzedaż trwała zamiast sześciu miesięcy — dwanaście. Od 13 lipca r. 1897 do 13 stycznia r. 1898 sprzedano w tych guberniach 1,97 milion. wiader spirytusu czterdziestostopniowego za sumę 13,5 mil. rb. (dochód z okowity 5,8 mil., z akcyzy 7,7 mil. rb.

W ciągu całego roku sprawozdawczego w guberniach powyższych sprzedano 44 mil. wiader spirytusu czterdziestostopniowego na sumę 30,8 mil. rb. (za spirytus otrzymano 13,3 mil., z akcyzy 17,5 mil.). Tym sposobem w sześciu guberniach północno-zachodnich oraz w Smoleńskiej, dochód ze skarbowej sprzedaży spirytusu przewyższył dochód z roku poprzedniego (1897) o 7,5 mil. rb. Trzecią przyczyną zwiększenia dochodu ze skarbowej sprzedaży okowity jest rozszerzenie handlu monopolowego w dziewięciu guberniach południowych: Wołyńskiej, Kijowskiej, Podolskiej, Besarabskiej, Połtawskiej, Taurydzkiej, Chersońskiej, Ekaterynosławskiej i Czernihowskiej. W ciągu r. 1897 sprzedano w tych guberniach ogółem 11 mil. wiader spirytusu 40 stop. za 77 mil. rb.; z tej sumy 41,1 mil. rb. osiągnięto z akcyzy i 36,9 mil. ze sprzedaży spirytusu. W r. zaś sprawozdawczym w dziewięciu powyższych guberniach sprzedano spirytusu 13,2 mil. wiader na sumę 92,5 mil. rb, (z akcyzy 52,4 mil., ze spirytusu 40,1 mil. rb.). Tak więc w stosunku do roku poprzedniego przewyżka wynosi 7,2 mil. rb.

Oto garść jeszcze innych szczegółów: W okręgu drugim, obejmującym gubernie południowe (Besarabska, Wołyńska, Ekaterynosławska, Kijowska, Podolska, Połtawska, Taurydzka, Chersońska i Czernihowska) przewidywano ogółem sprzedaż (od 13 lipca r. 1898) 10,254,800 wiader spirytusu 40%; sprzedano zaś rzeczywiście 13,188,025 wiader, tj. więcej o 2,938,825. W okręgu trzecim (gub. Wileńska, Grodzieńska, Kowieńska, Mińska, Witebska, Mohylowska i Smoleńska) od 13 lipca r. 1897 przewidywano w roku sprawozdawczym sprzedaż 4,313,300 wiader spirytusu 40%, sprzedano zaś rzeczywiście 4,390,719 wiader, tj. więcej o 77,419 wiad.

W okręgu czwartym, obejmującym Królestwo Polskie, rachunek szczegółowy (od 13 stycznia r. 1898) tak się przedstawia: w gub. Warszawskiej i Siedleckiej przewidywano sprzedaż 1,268,600 wiader spirytusu 40%, sprzedano zaś rzeczywiście 1,528,540 wiader, tj. o 259,940 więcej. W gub. Lubelskiej, Radomskiej i Kieleckiej przewidywano 730,200 wiader, sprzedano zaś rzeczywiście 791,922 wiader, tj. więcej o 61,722 wiad. W gub. Kaliskiej i Piotrkowskiej przewidywano 1,034,200 wiader, sprzedano zaś 1,102,669, tj. o 68,469 wiader więcej. Tylko w gub. Płockiej, Łomżyńskiej i Suwalskiej wypito mniej, niż rząd przewidywał, tj. zamiast 478,100 wiader, wypito w tych guberniach 475,056 wiader, czyli o 3,044 więcej.

Ogółem w stosunku do normy przewidywanej wypito w Królestwie Polskiem gorzałki 40-procentowej o 387,087 wiader więcej. Jeżeli weźmiemy ogólną sumę gorzałki: 3,898,187 wiader, sprzedanej u nas, w stosunku do 9-milionowej ludności, to otrzymamy średnią cyfry 0,42, tj. około pół wiadra na głowę. Jeżeli odrzucimy znaczny procent kobiet oraz dzieci, nie pijących wódki, to otrzymamy w przybliżeniu 1 wiadro gorzałki, wypitej średnio przez jednego mężczyznę w ciągu roku. Dodajmy, że tu nie wchodzą jeszcze w rachubę wódki zagraniczne, spożywane przeważnie przez wyższe warstwy ludności.

Biorąc te cyfry bez zastrzeżeń i oświetleń, moglibyśmy przyjść do wniosku, że w naszem społeczeństwie skłonność do spożywania gorzałki znacznie wzrosła, że zatem i pijaństwo się rozwija. Na szczęście inne dane pozwalają nam nakreślić obraz pomyślniejszy. Skarb państwa swój rachunek przewidywany oparł na sumach spożycia przed wprowadzeniem rządowej sprzedaży spirytusu. Jak widzimy z cyfr powyższych, prawie wszędzie po wprowadzeniu reformy sprzedaż wzrosła. Przypisać to należy przedewszystkiem dokładniejszym danym. Przed wprowadzeniem monopolu niepodobna było zebrać ścisłych cyfr ze sprzedaży gorzałki; były więc w rzeczywistości sumy niewątpliwie znacznie większe, niż podano w rubrykach urzędowych. Nadto po zmonopolizowaniu handlu spirytusem zarządzono energiczne środki stłumienia przemytnictwa, które przedtem szerzyło się bezkarnie i stworzyło osobną, bardzo nawet rozległą gałąź handlu okowitą zagraniczną. Wreszcie zaczęto gorliwiej wykrywać tajne gorzelnie i tajną sprzedaż gorzałki. Takie środki energiczne zwróciły naturalnie spożywców do czerpania wódki ze źródeł wyłącznie skarbowych. To właśnie zjawisko tłomaczy nam dostatecznie przyczynę pozornego wzrostu spożycia w stosunku do cyfr przewidywanych, gdy tymczasem w rzeczywistości spożycie przed wprowadzeniem monopolu było znacznie większe.

Wniosek ten postaramy się poprzeć szeregiem innych danych. Dr. A. Rothe w swojej pracy, ogłoszonej jeszcze 1882 r.[*]), podał następujący rachunek porównawczy: we Francyi wypada na głowę 2,58 litrów (w departamentach środkowych 5,88, w depart. Seine-inférieure, Sein, Aisne, Mayenne, Calvados, Eure od 16 do 20), w Stanach Zjednoczonych Ameryki 8,38, w Anglii 6,0, Belgii 8,56, Holandyi *50,22*, Danii 20,0, Szwecyi 10,34, Niemczech 10,65, Finlandyi 4,4, w guberniach Cesarstwa 13,9, w Królestwie Polskiem *8,76* litrów. Cyfry te są brane w stosunku do ludności wogóle, nie wyłączając dzieci i kobiet. Jeżeli taki stosunek weźmiemy i obecnie, to otrzymamy w Królestwie Polskiem około 0,42 wiadra na głowę, czyli *6 litrów* (wiadro=13 litr.); a więc w porównaniu z cyframi z przed 17 lat, spożycie gorzałki zmniejszyło się u nas o 2,76 litr. na głowę, pomimo że konsumcya ogólna wzrosła od tego czasu przeszło o półtora miliona wiader, tj. w stosunku prostym do wielkiego wzrostu ludności. Dodajmy je-

*) Dr. Rothe: „Otrucie wyskokowe, czyli alkoholizm, jego wpływ na rozwój i pomnożenie się chorób umysłowych w kraju i za granicą.“ Warszawa, 1882.

Krysto.

Pomyślimy... Tymczasem ukryj się pani gdzieś w górach.

Orla.

Czyż ja bym zniosła trudy i niebezpieczeństwa takiej bezdomnej tułaczki?

Krysto.

Prawda, jakże ja ogłupiałem! Gdybyś pani mogła schronić się do nieba, tam byłoby ci dobrze, ale na ziemi, w pustkowiu... Boże, czyż nie jestem zdolny wymyśleć czegoś lepszego! Oto jest mój nędzny rozum, bezużyteczne narzędzie z wielką nazwą, kruchy patyk do wyważania kuli ziemskiej. Obrać rzepę, zabić bezbronne zwierzę, zszyć płaty skóry — na to on się zdobędzie. Ale gdy trzeba gołębia obronić przed jastrzębiem — słupieje. I po co ten pychą wypełniony pęcherz tak się rozdyma! Chce przeniknąć wszystkie zagadki bytu— niech raczej weźmie jeden atom świata i bada go przez całe życie — to mu wystarczy dla poznania swojej niemocy.

Orla.

Więc mi, bracie, nie dasz żadnej rady?

Krysto.

Żadnej, żadnej nie dam ja, który dziś w nocy dawałem je Bogu i żądałem, ażeby mi odsłonił wszystkie swoje tajemnice.

Orla.

W takim razie pojadę do króla.

Krysto.

Przez miłosierdzie nad sobą, nade mną... co ja mówię! — przez litość dla siebie nie czyń pani tego! A może mój pomysł nie jest tak niedorzecznym, jak pozornie się wydaje. Czemubyś pani nie miała zamieszkać również w pustelni? Jest ich tu dosyć...

Orla.

Gdyby mi nawet nic nie groziło, nie umiałabym, jak ty bracie, dziergać i pruć mych myśli w samotni. Ja zrosłam się z ludźmi i nawykłam do czynu.

Krysto.

I to słuszne. Ja już zniedołężniałem, więc wyskubuję sobie z mózgu i drę myśli, jak stara baba pierze. Dotąd wszakże nie zrobiłem z nich jeszcze miękkich poduszek, na którychbym mógł dospać reszty życia wygodnie.

Orla.

Wierz mi, bracie, nie chciałam cię obrazić.

Krysto.

Nie wątpię, ale tłomaczę się. Kiedyś także lubiłem czyny, wyssawszy z nich jednak wszystką gorycz, zatrułem się nią; odtąd zacząłem wyciskać sok z myśli — jest on nie tak zabójczy, choć również gorzki. Bo tylko te, które zrodziły się z wszechwiedzy Boga i w postaci aniołów otaczają tron jego, dają słodycz. Ale dusza, która w ciele ma krótkie skrzydła, nie może na nich wznieść się tak wysoko. Dopiero gdy się z niego wyzuje i gdy jej skrzydła odrosną, wzleci do nieba i tam zachowa ten tylko rozum, który pozwoli jej pojąć całą mądrość i to tylko uczucie, w którem odbija się cała piękność wszechbytu. Życie moje obecne jest tęsknotą do tego stanu.

Orla.

A ja nierozważna zaprzątam cię, świątobliwy mężu, w tej tęsknocie moją marną sprawą... Przepraszam.

Zwróciła się do odejścia.

Krysto.

Co ja powiedziałem, że pani chcesz odejść? Ach, tak! Pani przychodzisz do mnie, ażebym cię nauczył, jak się obwarować przeciwko tygrysowi, który ozui się na twe ciało, a ja mówię o wzlotach duszy! Ha, ha, ha! Pyszny opiekun i przyjaciel! Czemuż ci nie poradziłem prościej, ażebyś zamiast siebie posłała królowi bukiecik konwalii? Bezpieczeństwo byłoby równie pewne, jak w podróży łódeczką mojej filozofii po bezbrzeżnym oceanie tajemnic natury. Oczy pani zapalały się dotychczas tylko dobrocią i miłością, niechże one raz zmrożą się w spojrzeniu pogardy dla tego skomlącego niedołęztwa, które nazywa się mną. Jestem do ciebie więcej przywiązany, niż pies, a mniej od niego usłużyć ci mogę, bo on w obronie twojej przynajmniej szczekałby i kąsał nieprzyjaciela, a ja tylko skowyczę.

Orla.

Przykro mi bracie, że się tak znieważasz, ale to mnie ośmiela do wyznania, które już dawno leży w mojem sercu a nieraz wybiegało na usta. Jesteś duchem wielkim, a nadewszystko duchem dobrym. Ja osobiście zawdzięczam ci bardzo wiele: zaznajomiłeś mnie z istotną nauką Arjosa, odsłoniłeś mi w naturze i życiu prawdy,

szcze tę okoliczność, że do znacznego spożycia przyczynia się ludność przyjezdna i przejezdna, której liczba w ostatnich latach olbrzymio wzrosła.

Dr. Rothe na mocy cyfr zebranych przychodzi do wniosku, że „Polacy nie należą do tych, którzy nadużywają napojów wyskokowych.“ Nawet we Francyi przeciętnie wypada na osobę 5,88 litr. wódki, nie wliczając w to ani wina, ani absyntu, ani cydru, ani piwa, które są tam spożywane w znacznej ilości. W Anglii zaś, obok gin'u i whisky, mających nie jak nasza wódka 40%, ale 50—55%, ludność spożywa dość znaczną jeszcze ilość piwa i porteru, daleko mocniejszych, aniżeli nasze. Jeżeli zaś weźmiemy te kraje europejskie, które pod względem geograficznym i klimatycznym więcej do nas są zbliżone, to znajdziemy, że Polacy zajmują prawie przedostatnie miejsce i że wiele jeszcze brakuje, ażeby doszli do tego stopnia, co Holendrzy.

Według danych dr. Rothego, zaczerpniętych z zarządów akcyzowych, spożycie wódki w r. 1882 w stosunku do dziesięciolecia poprzedniego zmniejszyła się o [illegible] Jeżeli więc zestawimy te dane z najświeższemi, przyjdziemy do przekonania, że spożycie wódki u nas w rachunku przeciętnym na głowę stało się zmniejsza, a więc w takim samym stosunku słabnie skłonność do nadużyć; to znaczy, że pijaństwa we właściwem znaczeniu nie mamy i jego rozwój nie grozi nam wcale. Oczywiście nie mówimy tu o zjawiskach, warunkach i czynnikach wyjątkowych. Niepodobna bowiem zaprzeczyć temu, że praca natężona, gorączkowa, połączona z niedostatkiem, a nawet nędzą, wytwarza nieprzepartą potrzebę podniety sztucznej, chwilowej, lub rozpaczliwe szukanie środków znieczulenia wszelkich zgryzot i cierpień moralnych. Takim właśnie środkiem jest alkohol. Spożycie jego nawet w rachunku przeciętnym na głowę zawsze jest znacznie większe w miastach i ogniskach przemysłowych, niż na wsi, gdzie praca i życie są spokojne. Te jednak zjawiska, jak na teraz, nie wchodzą w rachubę naszych wywodów. Nie mogą one obarczyć ogółu ludności w kraju zarzutem pijaństwa. Zresztą gdyby nawet istniał wzrost spożycia wódki w rachunku przeciętnym, na głowę, to i w takim razie nie dowodziłby on pijaństwa we właściwem znaczeniu. Zmonopolizowanie handlu okowitą ma na celu dwa zadania, pozornie sprzeczne: względy fiskalne, tj. przysporzenie skarbowi dochodu ze sprzedaży gorzałki i jednocześnie — czuwanie nad trzeźwością ogółu, tj. wytworzenie w nim wstrzemięźliwości w używaniu trunków. W rzeczywistości oba te zadania doskonale z sobą się harmonizują. Uregulowanie sprzedaży wódki usuwa nieporządne jej spożywanie, a rygor w rektyfikacyi — szkodliwe domieszki, najbardziej odurzające. Tym sposobem chociaż wzrasta stałe spożycie, nie wzrasta wcale pijaństwo; pijak bowiem jest najgorszym, najniestalszym spożywcą: upija się łatwo jednym kieliszkiem, jest w nędzy skutkiem swego nałogu, po kilka tygodni nie pije wcale z powodu chorób, powstałych na tle alkoholizmu. Gdy tymczasem człowiek, prowadzący życie umiarkowane, trzeźwe, „porządne,“ może stale spożywać po kilka wiader wódki rocznie, a pomimo to wcale nie wytwarza i nie podtrzymuje dotkliwej klęski społecznej — pijaństwa. Taki typ spożywcy u nas jest właśnie najbardziej rozpowszechniony.

Oczywiście pożądanem byłoby bardzo stworzyć taki typ i z tych, którzy skutkiem nieprzyjaznych warunków bytu i pracy skłonni są do nadużyć. Dlatego też sfery właściwe ciągle myślą o tem i obecnie badają kwestyę, czy podwyższenie ceny gorzałki lub osłabienie jej mocy wpłynie dodatnio na zmniejszenie pijaństwa. Zapytani o to w Królestwie Polskiem przedstawiciele akcyzy, wzięli pod uwagę ilość spożycia gorzałki w ciągu ostatnich dwu lat w Królestwie Polskiem, tj. od czasu wprowadzenia monopolu, oraz siedmiu lat, poprzedzających sprzedaż skarbową. Na mocy wyników otrzymanych władze akcyzowe przyszły do przekonania, że w Królestwie Polskiem pijaństwo nie przybrało i nie przybiera szerokich rozmiarów. Pomimo to jednak większość zarządów akcyzowych oświadczyła się za koniecznością podwyższenia ceny na wódkę do 20 kop. od stopnia. Co do zmniejszenia mocy, to niemal wszystkie zarządy są zdania, że środek ten jest zbyteczny, ponieważ ludność miejscowa oddawna przyzwyczaiła się do wódki mocniejszej.

Pismo rosyjskie, *Niedieła*, całkiem słusznie twierdzi, iż podwyższenie ceny wódki nietylko nie zmniejszy pijaństwa, lecz przeciwnie — przyczyni się do ruiny materyalnej mas ludności. Gorzałka stała się codziennym artykułem żywności, jak wiele innych, a więc w opodatkowywaniu tego produktu musi być przecież nareszcie jakaś granica. Istnieje jeszcze inny projekt: zniesienia najmniejszych buteleczek kieliszkowych a pozostawienia wielkości podwójnej. Środek taki doprowadziłby do rezultatów wprost przeciwnych: ci, co się przyzwyczaili do stałej dozy kieliszkowej, wypijaliby podwójną. Zamiast tych środków, niepewnych i ryzykownych, należałoby usunąć przeszkody w spożywaniu piwa. Po wsiach i miasteczkach od chwili wprowadzenia sklepów skarbowych, sprzedających gorzałkę, zamknięto piwiarnie, podobno tymczasowo. Dotąd jednak różni interesowani próżno kołaczą o prawo otworzenia piwiarni lub sprzedaży piwa w sklepach. Tymczasem ludność, oddawna przyzwyczajona do tego produktu, mimowoli ucieka się do gorzałki, której przedtem nie piła, lub piła w bardzo małej ilości. Z dwojga złego lepsze jest przecież piwo, gdyż zawiera bardzo niewielki procent alkoholu, a zarazem posiada substancye pożywne. Według obliczeń dr. Rothego, przeciętne spożycie piwa w Królestwie Polskiem wynosi 12,84 litra na głowę, co w stosunku do państw zachodnio-europejskich stanowi ilość bardzo umiarkowaną. (Francuz spożywa 20,95, a Niemiec 52,2 litr. rocznie). A więc i pod tym względem niema obawy o wzrost pijaństwa u nas.

Zen. Piet.

Z ŻYCIA FRANCYI.

Paryż, 24 marca.

Jedną z najciekawszych i najważniejszych stron wielkiej kwestyi stosunku kościoła do państwa we Francyi jest szkoła. W ostatnich czasach specyalna komisya Izby poselskiej pod przewodnictwem Ribota przeprowadziła o niej całą ankietę, a w tych dniach Ribot i wraz z nim kilku byłych ministrów o-

---

których światło nie przenikało przedtem do umysłu mojego, nauczyłeś mnie zapuszczać myśl głębiej i sięgać wzrokiem dalej... chociaż dopiero od miesiąca jestem twoją uczennicą, mam od ciebie bogate dary wiedzy. Pomimo to jednak nie mogę pojąć, czemu dusza twoja szybuje ciągle pod niebem i nie przebywa na ziemi? Dlaczego chcesz koniecznie wprzódy zbadać szczyt góry, niż jej podnóże? Dlaczego szturmujesz do nieba, wyłamujesz drzwi do przybytku Boga, pragniesz go postawić przed swym sądem i wymusić na nim zeznanie, a nie zwracasz uwagi na ziemię i lekceważysz na niej wszystko, co bliżej i wyraźniej ukazuje się twojemu rozumowi? Mnie się zdaje, że do Stwórcy trzeba wspinać się po drabinie jego tworów. Zapewne, pływające po przestrzeni planety błyszczą piękniej i drażnią ciekawość silniej, niż istoty pełzające po naszej kuleczce ziemskiej, ale te są bardziej dla nas dostępne i ściślej związane z życiem naszem. A zresztą czyż to, co jest wspaniałem, zawiera w sobie więcej tajemnic, niż to, co jest skromnem? Przypuszczam, że w najdrobniejszej cząstce wszechświata mieści się cała potęga, która go zrodziła. I kto by rozwiązał wszystkie zagadki ziarnka piasku, przeniknąłby całą naturę. Więc, bracie kochany, odwołaj swoją myśl z napowietrznych szlaków, gdzie ona błąka się znużona między oddalonymi światami, każ jej szukać prawdy na drogach naszego życia, być mistrzynią i pocieszycielką ludzi, których dusze są godne gwiazd nieba.

Krysto.

O, ty przeczysty promieniu światłości bożej, jakąż jasnością napełniasz mój mroczny umysł! O, ty przedźwięczny głosie mocy bożej, jakąż rozkoszą nastroiłaś stargane struny serca mojego? Dziękuję ci, pani, za to natchnienie. Pójdę do celu, który mi wskażesz, ale czy ty pójdziesz za mną?

Orla.

Tak. Jeżeli zechcesz, nie odstąpię cię nigdy.

Krysto.

Boże, czyż w twojej bezmiernej łasce zadrgało również szczęście moje! Ach, jakim hymnem wesela śpiewa dusza moja! Pani droga, wróć do domu, odpraw posłańców króla obietnicą, że wkrótce sama przybędziesz i zejdź wieczorem do tej doliny, gdzie zgromadzą się nieszczęśliwi nędzarze, którzy odebrali swą miłość i cześć Bogu i ludziom, a zachowali je tylko dla ciebie. Przyrzekłem im, że wraz z tobą poblogosławię lub rozgrzeszę ich rozpacz.

Orla.

Nic nie słyszałam.

Krysto.

Dowiesz się wszystkiego.

Jak na świętości tak pobożny złożył pocałunek na jej ręce. Gdy Orla odeszła, usiadł i zaczął się trząść gwałtownem szlochaniem, a potoki łez trysnęły na jego twarz błogo uśmiechniętą.

WIDOK II.

W dolinę o długiem i szerokiem dnie wlał się wrzący potok nędznego ludu: mężczyzn, kobiet i dzieci. Twarze były blade, pokąsane głodem, poskręcane bólem i gniewem. Z ust wylatywały bluźliwe słowa jak grzmoty, na czołach leżały groźne chmury, a w oczach migały błyskawice. Mocnym gwarem gotowała się ta masa, z której wykipiały już wszystkie uczucia prócz rozpaczy. Jak gdyby po wyczesaniu przed snem głowy słońca na grzebieniu gór pozostały pęczki promieni, niby złotych włosów, od których padała łagodna jasność w dolinę. Nagle z jednej strony tłumu zerwał się krzyk, który nim wstrząsnął i zatamował wrzawę.

Głosy.

Idą!

Jedni zwarli się mocniej i posunęli naprzód, drudzy powstali z miejsc, inni wbiegli na wyniosłości, a po tym szybkim ruchu wszyscy stężeli i zamilkli jak głazy leżące pod ścianami wąwozu i zwrócili wzrok w jednym kierunku. Krysto i Orla, zszedłszy z przeciwległych gór, złączyli się w dolinie i szli wolno ku zgromadzeniu — on z wyschniętem ciałem jak gdyby miał wkrótce odlecieć z ziemi, ona w anielskim uroku, jak gdyby dopiero co spłynęła z nieba. Gdy zbliżyli się, lud zawołał z czcią i pokorą:

— Pani nasza, pani!... Najświętsza panienka!

światy, zasiadających jeszcze w parlamencie: Leon Bourgeois, Karol Dupuy, Poincaré, Lockroy, zapowiedzieli interpelacyę do rządu, jakie stanowisko zamierza zająć wobec wyników tej ankiety i jakie zaproponować lub wprowadzić reformy. Obrady nad tą interpelacyą odbyć się mają zaraz po Wielkiej Nocy i będą z pewnością należały do liczby najważniejszych i najbardziej zajmujących z tych, którym poświęca się obecnie Izba poselska. Pomówimy o nich wówczas, a tymczasem — rzucimy pobieżnie okiem na historyę kwestyi szkolnej we Francyi i zatrzymamy się szczegółowiej nad jednym wnioskiem rządowym, o którym właśnie deputowany Aynard złożył referat w imieniu komisyi.

Przed Rewolucyą francuską monopol wychowania młodzieży znajdował się, jak wiadomo, w rękach duchowieństwa katolickiego, które było w zupełnej zgodzie z rządem królewskim i od niego zależało. Zgromadzenia rewolucyjne bardzo żywo zajmowały się sprawami wychowania publicznego i bardzo wiele w tym zakresie zrobiły. Główni ich referenci, Talleyrand i Condorcet, w swych wiekopomnych projektach dają nam poznać ogólnego ducha działalności rewolucyonistów w tym względzie. Po raz pierwszy urzędowo stawiają oni kwestyę *wolności nauczania*, tego hasła, w imię którego toczy się we Francyi stuletnia walka kościoła z nowożytną myślą wolną o dusze i umysły młodego pokolenia. Rewolucyoniści żądają wolności i prawa nauczania dla każdego. Jedna z uchwał Konwentu, na których tak często daje się zauważyć piętno komunizmu, retrospekcyjnie zapożyczonego od starożytności spartańskiej i rzymskiej, wprowadza nawet organizacyę szkół, zupełnie przypominającą tę, którą Bellamy proponuje i przewiduje dla dziennikarzy i literatów przyszłego społeczeństwa: każdy ma prawo zakładać szkołę, byle tylko program jej i wykłady były jawnymi: rodzice posyłają dzieci do szkoły, dowolnie przez siebie obranej, a skarb państwa opłaca nauczyciela odpowiednio do liczby uczniów, pozyskanych dzięki jego zaletom, uwydatnionym w ten sposób przez samą rywalizacyę.

Dążenie rewolucyonistów do wolności nauczania było skierowane przeciwko monopolowi duchowieństwa i miało przedewszystkiem przynieść pożytek teoryom wolnomyślnym i demokratycznym. W tym samym celu Condorcet chciał utworzyć autonomiczne ciało profesorskie, zupełnie niezależne od rządu. Przeciw temu jednak protestowali już niektórzy jakobini, którym dla tych samych celów wydawało się pożyteczniejszem zmonopolizowanie nauczania w rękach rządu rewolucyjnego i uzależnienie od niego nauczycieli, jako pełniących jedną z najważniejszych służb publicznych. Istotnie, z wprowadzonej zasady wolności nauczania skorzystało przedewszystkiem i prawie jedynie samo duchowieństwo, przeciw któremu była ona wymierzona. Gdy republikańskie szkoły rządowe rozwijały się z trudnością, wynikającą z ówczesnego ciężkiego położenia kraju, prywatne pensyonaty katolicko-rojalistyczne mnożyły się i rosły w pierze do tego stopnia, że już Dyrektoryat dopatrzył się w nich niebezpieczeństwa dla rzeczypospolitej i poddał je pod kontrolę rządu, rozciągając w tym celu dowolnie jeden punkt konstytucyi, który się do tego nadawał. Jest to punkt, dający rządowi prawo dozoru nad zawodami, ściśle związanymi z bezpieczeństwem publicznem, co raczej mogło się stosować do fabrykacyi prochu.

Napoleon, ten spadkobierca jakobinów, który nawet prasę, a cóż dopiero wychowanie, uważał za wydział rządu, bez wahania poszedł w tym kierunku aż do ostatnich granic: stworzył silną, od rządu bezpośrednio uzależnioną, a istniejącą dziś jeszcze, organizacyę, „uniwersytet,“ czyli powszechność nauczania, która obejmuje wszystkie stopnie i posiada prawo wyłączności. Nikt nie mógł prowadzić pensyi bez pozwolenia „wielkiego mistrza uniwersytetu,“ a kto je otrzymał, musiał jeszcze płacić osobny podatek na szkoły rządowe i posyłać do nich swych wychowańców..

Tak więc, już koniec XVIII stulecia przekazał, a początek XIX-go uwydatnił trzy siły, trzy czynniki, które działają w ciągu bieżącego wieku w walce na polu szkolnictwa. Są to przedewszystkiem kościół i państwo, których zadaniem jest uświęcanie i zachowywanie istniejących stosunków społecznych, a z drugiej strony — siła, dążąca stale do coraz nowego ich przekształcania, właściwa spadkobierczyni rewolucyi francuskiej, przesuwająca się zresztą nieustannie od jednych żywiołów ku drugim. Kościół i państwo, te dwie siły zachowawcze, lecz nie w równym stopniu, walczą z sobą otwarcie lub skrycie, a walka ich tyle zabiera miejsca w życiu społecznem, że dążenia postępowe, przynajmniej w zakresie szkolnym, nikną w ich cieniu, nie odgrywając wcale roli samodzielnej. Restauracya burbońska zachowuje w całej sile monopolową organizacyę „uniwersytetu,“ przez usta Royer-Collarda powtarzając w skrajnej formie zasadę jakobińską, że nauczanie musi pozostać w ręku rządu dla tych samych przyczyn, dla których rząd zachował sobie takie czynności publiczne, jak sądownictwo lub organizacya siły zbrojnej. Lecz na czele nauczania państwowego Burboni stawiają — biskupa, tolerują szkółki początkowe pod kierunkiem duchownych, usuwając tylko od nauczania kongregacye zakonne, jak jezuitów.

Katolikom to wszystko nie wystarcza; nie dość im tego, że w r. 1833 wychodzi prawo, pozwalające każdemu zakładać szkółki początkowe, byle posiadał świadectwo szkolne. „Katolicy liberalni,“ Montalembert, Lacordaire, agitują za zupełną wolnością nauczania, jak w Belgii; ale duchowieństwo panujące chce zachować jak największy wpływ na szkolnictwo rządowe, a tylko uniezależnić zupełnie od rządu szkoły własne. Ministrowie, Guizot, Villemain, podają w r. 1837 i 1844 wnioski w tym duchu, lecz energiczna agitacya liberałów przeciw jezuitom, w której prym trzymają Michelet i Quinet, udaremnia te plany.

Rok 1848 przynosi zasadę wolności nauczania, lecz zarazem prawo kontroli rządu. Natomiast w pełni okresu reakcyi, w roku 1850, hr. Falloux przeprowadza prawo „wolności nauczania średniego,“ pozwalające każdemu (skorzystać z tego mieli tylko księża), kto posiadał patent najniższego stopnia, obowiązujący tylko dyrektora, a nie nauczycieli, zakładać szkoły średnie. Prawo powyższe dopuszcza do tego nawet kongregacye zakazane (jezuitów), kontrolę rządu pozostawia ściśle tylko w granicach moralności i hygieny, a natomiast nauczycieli świeckich oddaje pod kontrolę

I padł na kolana. Orla odpowiedziała cichym i drżącym głosem.

Orla.

Wstańcie, moi drodzy. Przecież ja nie Bóg, tylko wasza przyjaciółka. Będziemy wspólnie radzili o waszej niedoli.

Głosy.

My nie zbóje, nie rabusie, my nieszczęśliwi!

Orla.

Czyż nie byłam powiernicą waszą, ażebym o tem nie wiedziała? Wstańcie, brat Krysto was pocieszy.

Powstali. Krysto wszedł na mały wzgórek i przemówił:

Krysto.

Ta święta panienka przeniosła wszystkie bóle wasze do serca mojego. Więc rozgrzeszam was i błogosławię. Idźcie spełnić zemstę na krzywdzicielach waszych.

Ryk dzikiej radości buchnął z sinych i drżących ust. Krysto rzekł:

Panowie głoszą, że Bóg przez Arjosa pozwolił im i nakazał ciemiężyć was. Powołują się oni na to, iż w Zakonie napisano: „Sługa odda wszystkie siły swoje, wszystkie dobra swoje, wszystkie myśli i uczucia swoje panu swojemu,“ że gdzieindziej powiedziano: „Jeśli ręka twoja chce się podnieść przeciw panu twojemu, odetnij ją, ażeby cię nie wiodła do nieposłuszeństwa.“ Rzeczywiście słowa te są w księgach świętych. Ale ja nie wierzę, ażeby one pochodziły od Zwiastuna, który zrównał wszystkich ludzi wobec Boga, a najgoręcej umiłował biednych. On nie uznawał sług i panów, tylko braci. Jakimże jednak sposobem można tego dowieść? W Tenerze, mieście stąd odległem jest grób Arjosa, na tym grobie stoi zbudowana ku czci jego świątynia, a w niej przechowują się spisane słowa jego. Tam trzeba pójść i w niezmąconem źródle zaczerpnąć prawdy nauki mistrza naszego. Tam pójdę z panienką waszą i przyniesiemy wam czyste objawienie wiary.

Zdawało się, że cisza ma wielką pierś z której dobywają się coraz spieszniejsze oddechy. Po krótkiej przerwie Krysto mówił dalej:

A jeżeli tam nie znajdziemy prawdziwego Zakonu? Wtedy Arjos objawi się. Nie ukaże się mnie, bo długo żyłem w grzechach, z których dopiero teraz oczyszcza się dusza moja. Ale ukaże się waszej świętej panience, bo dusza jej jest niepokalaną, bo on raz rzekł do uczniów swoich: „Chociażbym lekkim snem spał w grobie moim, nie przebudzą mnie najgłośniejsze krzyki obłudy: a chociażbym spał snem wiecznej śmierci, zbudzi mnie najcichszy szept niewinności.“ Więc on zejdzie z nieba i powie jej, czego uczył i położy kojącą dobroć swoją na rany wasze.

Głosy

Ja pójdę z wami!
— I ja!
— I ja!

Coraz gęściej zaczęły się sypać oświadczenia chęci do wspólnej pielgrzymki, wreszcie zabrzmiało:

— Pójdziemy wszyscy na grób Arjosa!

Krysto uśmiechnął się tryumfująco i spojrzał na wzruszoną Orlę, która rzekła do niego z uniesieniem:

Orla.

Widzisz, bracie, oto mój poczciwy, biedny lud!

Krysto.

Niech każdy wróci do swego domu i zabierze, co mu będzie potrzebnem. O świcie wyruszymy w drogę.

Głosy.

Nie zostawiliśmy niczego w domach naszych, więc do nich już nie pójdziemy.

Orla.

To prowadź nas, bracie Krysto.

Jak zator lodowy, uderzony silnym prądem, spłynęła wzdłuż doliny masa ludzka, cicha, poważna, głęboka cierpieniem i unoszona nadzieją. Na jej czele szli Krysto i Orla, których obnażone głowy zorza wieczorna otoczyła bladą jasnością.

(C. d. n.)



proboszczów i biskupów. Nawet drugie cesarstwo, zresztą tak powolne duchowieństwu, wyłącza jednak nauczycieli z pod jego kontroli... aby ich oddać pod dozór i władzę swych prefektów (gubernatorów).

Klerykalizm, wszechwładny w pierwszem zgromadzeniu narodowem trzeciej republiki, prowadzi jednak dalej swe dzieło, sięga w r. 1875 po trzeci, najwyższy stopień nauczania; ogłasza prawem jego „wolność," upoważnia osoby prywatne, byle dyplomowane (znowu skorzystać z tego mieli przedewszystkiem księża) do zakładania uniwersytetów, które mogą wydawać dyplomy na stopnie naukowe po wyegzaminowaniu kandydata przez komisyę, złożoną w połowie z profesorów rządowych i „wolnych." Dopiero po r. 1879, gdy właściwe stronnictwo republikańskie dochodzi do władzy w rzeczypospolitej, nawiązuje ono zerwane tradycye Konwentu i Dyrektoryatu: biskupów wyłączono z najwyższej rady oświecenia publicznego, kongregacye zakazane rozwiązano i wypędzono, wprowadzono nauczanie obowiązkowe i świeckie, neutralne pod względem wyznaniowym, lecz jednocześnie organizacyę „uniwersytetu" wzmocniono, szkołom wyższym prywatnym odebrano prawo noszenia nazwy nawet uniwersytetów i nadawania stopni naukowych.

Cóż w całym tym procesie może począć nauczanie prywatne, nie rządowe, ale i nie kościelne? Jest ono *quantité negligeable*. Żywioły liberalne i postępowe z początku, widząc przymierze kościoła z rządem, domagają się, wraz z katolikami liberalnymi, zupełnej swobody nauczania, „jak w Belgii"; ale po r. 1850, po r. 1875, widząc przedewszystkiem pożytek jej dla kościoła, dochodzą do wniosku, że jest to żądanie przedwczesne, że trzeba najpierw złamać groźny klerykalizm i w tym celu łączą się z rządem świeckim, starając się ze szkolnictwa rządowego uczynić choć w części środek urzeczywistnienia swych ideałów, a w dalszym ciągu, z natury rzeczy, oddające się skłonności do zmonopolizowania udoskonalonej oświaty w rękach tak pojmowanego rządu. Tem się tłomaczy to zjawisko, które niejednego na pierwszy rzut oka tak razi, że we Francyi, zwanej przecież „pochodnią wolności," prawie wcale niema szkół prywatnych (oprócz utrzymywanych przez duchowieństwo), a jeśli są, to rozwijają się z daleko większą trudnością, niż np. w Belgii. I nigdzie chyba w Europie zachodniej szkoły wyższe nie są tak uzależnione od rządu, tak pozbawione wszelkiej samodzielności ruchów, wszelkiej korporacyjności, jak tu. Między zaś swobodami uniwersytetów tutejszych, a np. niemieckich lub włoskich, istnieje cała przepaść. Wolność nauczania, tak samo jak oddzielenie kościoła od państwa, odłożyły najpostępowsze nawet żywioły do czasów pomyślniejszych — w imię tego, że najpierw trzeba *ecraser l'infame!*

Klerykalizm zaś, żądając większej, daje sobie wcale niezłe radę i z istniejącą „wolnością nauczania." Księża i zakonnicy prowadzą mnóstwo szkół średnich i kilka wyższych, których uczniowie zdają potem na patent dojrzałości i na stopnie naukowe przed komisyami rządowemi, jak i inni. Szkoły te zaczynają coraz poważniej współzawodniczyć z rządowemi kolegiami i liceami, dlatego nawet przedsięwzięto ową ankietę. Przyczynom tego zjawiska oraz proponowanym środkom zaradczym przypatrzymy się przy sposobności zapowiedzianych obrad nad interpelacyą Ribota.

Z powodu sprawy Dreyfusa, gdy chwilowo uciszona przez Meline'a walka republikanów z klerykałami nanowo się zaostrzyła, podniosły się głosy, że księża-wychowawcy otaczają swych wychowańców tkliwą protekcyą w późniejszem życiu, że pomagają im do karyery i obsadzają swemi kreaturami najbardziej wpływowe urzędy, szczególnie w armii. Zjawił się też cały szereg projektów ze strony radykalnej. Dep. Rabier domaga się zapewnienia rządowi monopolu oświaty, Levraud—stanowczego wzbronienia utrzymywania szkół wszelkim kongregacyom duchownym, ktoryś zaś z socyalistów postawił — więcej dla szyderstwa — wniosek, aby raz na zawsze zabroniono trudnienia się wychowaniem dzieci osobom, które żyją w obowiązkowym celibacie. Powodem do postawienia tego wniosku, uchylonego zresztą przez Izbę poselską, było odkrycie niektórych skandalicznych faktów, szczególnie w Lille, które do bogatego słownictwa wymysłów politycznych wprowadziły spopularyzowane dziś już przezwisko „Flamidyańczyków..."

Gabinet „obrony republikańskiej" p. Waldecka-Rousseau nie zaszedł tak daleko; chcąc jednak dać pewne choćby zadośćuczynienie żądaniu republikańskiej opinii publicznej, aby znowu przycisnąć klerykałów, minister oświaty Leygnes postawił wniosek, by od r. 1903 nikt nie mógł otrzymać żadnej nieco wyższej posady rządowej, nie wyłączając stopni wojskowych, jeżeli nie spędził trzech ostatnich lat nauki średniej w zakładzie rządowym. Ten to właśnie wniosek komisya oświecenia publicznego odrzuciła większością blizko $^2/_3$ głosów.

W referacie, złożonym Izbie poselskiej w imieniu tej komisyi *), poseł Aynard, bogaty fabrykant lyoński, spadkobierca ekonomicznych i społecznych teoryj Leona Say'a, gorąco broni... wolności nauczania. Rząd na poparcie swego wniosku przytacza, że urzędnicy muszą być lojalnymi republikanami, a ten lojalizm może w nich wyrobić tylko pobyt w szkołach republikańskich. Tym sposobem zmniejszać się będzie także przepaść między dwoma częściami młodzieży, wytworzona przez fakt istnienia dwóch równych a przeciwnych sobie sił wychowawczych. Lecz Aynard odpowiada na to, że przedewszystkiem tego rodzaju środek jest zbyteczny i daje tutaj dowcipną a prawdziwą dosyć charakterystykę biurokraty francuskiego, który tyle już widział i spodziewa się jeszcze widzieć zmian form rządowych, że wszystkim po kolei gotów jest służyć z równą gorliwością, wiernością i—sceptycyzmem.

Gdyby tak nie było, to środek ten byłby bezskutecznym, bo przecież trzy lata, spędzone w gimnazyum rządowem, nie zniszczą wpływów dzieciństwa i późniejszego otoczenia; że więc cel wniosku nie na tem polega, lecz na ubocznem zadaniu ciosu dotkliwego szkołom księżym i stanowczem przechyleniu szali konkurencyi na stronę rządowych. I Aynard wyznaje — co jest dla Francyi wielce charakterystycznem — że cios taki byłby rzeczywiście bardzo dotkliwym. bo większość rodziców, oddających dzieci do szkół średnich, myśli dla nich przedewszystkiem o karyerze urzędniczej.

Tu Aynard protestuje w imię naruszonej wolności sumienia ojca rodziny, woła, aby nie wytwarzano nowej kasty paryasów, powołuje się nawet na punkt 6 deklaracyi praw człowieka i obywatela, znoszący upośledzenia żydów i dysydentów i głoszący, że wszyscy obywatele mają jednakowe prawo do urzędów publicznych... Jednak cała lewica republikańska odkłada obecnie tego rodzaju zasady na bok i popiera projekt rządowy, właśnie dla jego pośredniej skuteczności przeciw szkołom klerykalnym, przypominając, że, jeśli Rewolucya francuska wybuchła i miała taki przebieg, to może w znacznej części dlatego, że przez 25 lat poprzednich Towarzystwo Jezusowe, wypędzone w 1764 r., nie miało wpływu na wychowanie młodzieży...

*) Chambre des Deputes. Nr. 1490.

K. Radosławski.

LEX HEINZE

Berlin, 25 marca

Przed laty dziesięciu mieszkała sobie w Berlinie rodzina Heinze'ów. Małżonkowie Heinze prowadzili do spółki niewielki interes, żona trudniła się detaliczną sprzedażą swych wdzięków, a mąż robił honory domu. Stałych klientów częstował cygarami, bawił dykteryjkami i dowcipami. Dzięki swej „solidności," firma Heinze cieszyła się rozgłosem, a jej przedstawiciel w chwilach wywczasu mógł marzyć o tem, iż wkrótce sprzeda swe przedsiębiorstwo, a sam zacznie prowadzić życie rentiera, będzie dyskontował weksle po 6—7% lub kupi kamieniczkę, aby co rok podwyższać komorne. Dalej jego ambicye nie sięgały. Tylko w chwilach wybujałego optymizmu marzył on, iż osiadłszy w małem miasteczku, zaofiaruje kilkanaście tysięcy ciężko zapracowanego grosza na cele dobroczynne, poczem otrzyma honorowy urząd obywatelski, a żona będzie przyjętą w poczet członków towarzystwa szerzenia moralności. Nigdy jednak Heinzemu nie przychodziło na myśl, że odegra rolę bohatera politycznego, że nazwisko jego stanie się hasłem, które wywoła zawieruchę w sferze artystów, burzę w zaciszu parlamentarnem Niemiec, obstrukcyę lewicy itd. Pomijając wrodzoną skromność, Heinze, jako mąż praktyczny i trzeźwy, czuł wstręt do polityki i demokracyi. Los jednak chciał inaczej. Pewnego razu, pełniąc wartę honorową przed domem, potknął się nieszczęśliwie o stróża porządku, z którym wszczął bójkę i w jednej chwili runął karciany dom jego marzeń: życie rentiera, weksle dyskontowane po 6—7%, kamieniczka i towarzystwo szerzenia moralności rozwiały się jak dym, a Heinze, bohater lirycznych poematów Aristidesa Bruyanta, przedzierzgnął się odrazu w znakomitość polityczną. Wina tej przemiany zresztą spada na dziennikarstwo i parlament, które rzuciły się na biednego Heinzego, jak na rzadki smakołyk. Wiemy wszyscy, iż na świecie szerzy się blaga i karyerowiczostwo, nikczemność i chciwość, lichwa i prostytucya, a jednak nikt nie interesuje się temi rzeczami, dopóki nie stają się „aktualnemi." Dopiero wtedy, gdy pęka balonik sensacyjnego wypadku, dziennikarz zaczyna biadać nad upadkiem ludzkości, po 6 fen. od wiersza, a parlament przemyśliwa o ocaleniu społeczeństwa za pomocą stosu paragrafów. Teraz dopiero, gdy z procesu Heinzego wydobyły się cuchnące opary, postanowiono uczcić bohatera sprawy pomnikiem prawodawczym z napisem: „Przechodniu, wystrzegaj się rozpusty, abyś nie był dotknięty ręką sprawiedliwości!"

W r. 1891 sfabrykował Reichstag t. zw. paragraf najmu, zabraniający wynajmować mieszkania prostytutkom. Wszetecznice, nie znalazłszy nigdzie przytułku, porzucą swój zawód lub wyniosą się z Niemiec. Rada związkowa jednak odmówiła zatwierdzenia paragrafu, który, według jej mniemania, podważyłby fundamenty społeczeństwa. Znieść prostytucyę znaczyłoby według niej tyle, co zamknąć na miesiąc wszystkie sklepy wiktuałów lub powstrzymać ruch wszystkich kolei. „Czyż poeci nie śpiewali hymnów Solonowi za to, iż, założył w Atenach domy publiczne, uwolnił uczciwe matrony od natręctwa samców i nb. od pokus? A czyż św. Augustyn nie orzekł: „usuńcie prostytutki, a wtedy siła namiętności płciowych zburzy i zniszczy wszystko"? Rada związkowa oświadczyła, iż zatwierdzając paragraf najmu, musiałaby założyć domy publiczne. *Lex Heinze*, odtrącone przez rząd, wróciło do swych rodziców, którzy bynajmniej nie zrażali się odprawą, przeciwnie, przystroiwszy je jeszcze piękniej, odesłali z powrotem do rzą-

du. Powstał inny paragraf, karzący stosunki miłosne zarobkodawców z ich podwładnemi. Rząd znów odprawił *lex Heinze* z kwitkiem. Wtedy centrum, aby dowieść swej stanowczości, sfabrykowało dwa nowe paragrafy (§ 184 *a* i *b*), które zakazują publicznego wystawiania dzieł sztuki, jeśli *nie będąc niemoralnemi, obrażają jednak uczucie wstydliwości*. To samo dotyczy utworów dramatycznych. Konserwatyści krzyknęli: „hura!“ Centrum katolickie i zachowawcy ewangieliccy padli sobie w objęcia i płakali z radości, zbudowani trafnością pomysłu. Teraz dopiero odczuto, iż podważono grunt rozpusty, ponieważ z chwilą, gdy Apollo Belwederski włożyć musi habit, Wenera włosienicę, a aniołowie majteczki, wtedy wybije ostatnia godzina niemoralności. Ostatni wreszcie paragraf zabrania uwodzić 18-letnie dziewczęta, przyczem stowarzyszenia kobiece żądały, aby wiek nietykalności dziewiczej rozciągnąć do 21 roku życia.

Ze wszystkich punktów wspomnianych najdonioślejsze znaczenie posiada paragraf „artystyczny,“ czyli inaczej „witrynowy.“ Artyści, bezpośrednio zainteresowani w sprawie, z początku nie troszczyli się zupełnie o *lex Heinze*: po części mieli ważniejsze rzeczy do roztrząsania: stosowność dyalogu w dramacie naturalistycznym, przewrotowe znaczenie nadczłowieka dla literatury, subtelność duszy nowoczesnej itd., a powtóre nie przypuszczano, iż rząd zechce obecne bogate i zupełnie wystarczające prawodawstwo obciążyć balastem zbytecznym. Wszak na podstawie praw dotychczasowych Blumenthal, dyrektor teatru Lessinga, musiał przez cały rok przekomarzać się z władzami, zanim uzyskał pozwolenie na wystawienie „Końca Sodomy" Sudermanna, przyczem minister o mało co nie przypłacił dymisyą rzekomego swego liberalizmu; w Monachium *Schutzmann* rozkazał usunąć z wystawy sklepowej Wenus milońską; w Berlinie zwrócił się niedawno fijołkowy stróż porządku do właściciela salonu sztuk pięknych, wskazując wystawioną w oknie nimfę Böcklinowską (*Das Spiel der Wellen*): „Proszę zdjąć z okna tę ordynarną dziewkę (*das Weibstück*) z obnażonemi piersiami.“ Słusznie więc mniemano, iż wszystko pozostanie po staremu, a policya w najgorszym razie obostrzy swą kazuistykę karną. Tymczasem zdarzyły się wypadki, które nadały rzeczy fatalny obrót. Rząd postanowił sprawić państwu niemieckiemu nową marynarkę, szyciem zaś jej miał się zająć sejm, a właściwie nadające tam ton stronnictwo centrum. Krawiec żądał zapłaty: muzea, wystawy i place publiczne miano uwolnić od nagich postaci. Roeren, poseł z centrum, zaczął obchodzić sklepy z obrazami, wyławiając ryciny z nagiemi postaciami. Tu dopiero artyści spostrzegli, iż zbliża się *dies irae* dla sztuki. I oto niemal w ostatniej chwili ludek artystyczny ogarnęły groźne i olśniewające płomienie rokoszu. Rząd wystraszony zapewniał, że karze będą podlegały tylko utwory obrażające wstydliwość przeciętnego człowieka. Tymczasem wyszło na jaw, że wspomniany Kato Roeren jest sam sędzią, a więc będzie również „przeciętnym człowiekiem,“ on, co radził nagie rzeczy Rubensa spalić na stosie, a dramaty Sudermana umieścić na indeksie *rerum prohibitarum*. Artyści zwołali ogromne zgromadzenia, jakich jeszcze Berlin nigdy nie widział. Posypały się zewsząd protesty i petycye, najwyższe powagi nauki i sztuki, jak np. staruszkowie Mommsen i Menzel połączyli się z braćmi zbuntowanymi. Huragan przez cały tydzień krążył po Niemczech, a potem przeniósł się do sejmu Rzeszy. Niestety, okazało się, że demonstracye były już trochę spóźnione, gdyż prawica, zjednoczywszy się z centrum, nacierała groźnie na rząd, a ministrowie w obawie o swe stanowiska, zaczęli kapitulować. Wprawdzie lewica radziła wydelegować do Rzymu komisyę, którąby się przekonała, iż na środkowych drzwiach kościoła św. Piotra jest fresk, przedstawiający — o, zgrozo! — Ledę z łabędziem, a więc motyw, który przyprawiał mówców z centrum o gwałtowne wybuchy świętego oburzenia. Wprawdzie wskazywano, iż Otello musi dusić Desdemonę tylko w łóżku, że chory z urojenia musi na scenie wykonywać pewne niezwykłe manipulacye, że na balach dworskich kostiumy nie zupełnie odpowiadają wymaganiom skromności. Wszysto to jednak nie zdało się na nic. Centrum wolało nawet zrezygnować z zamachu na prostytucyę, żądając okastrowania sztuki. *Fiat prostitutia - pereat ars*, brzmiała odpowiedź. Wtedy lewica chwyciła się ostatecznego środka — obstrukcyi, aby w ten sposób przewlec przynajmniej sprawę. Deputowany Heine postawił nagły wniosek o karaniu osób, szerzących choroby weneryczne. Wolne to żarty, gdyż 10% ludności berlińskiej (150,000 osób) choruje na sam *lues*. Bądź co bądź, dzięki tego rodzaju kacykom, sprawę zawieszono tymczasem na kołku, z czego skorzystają artyści w celu wywarcia nacisku na sfery decydujące.

Wieczorem ostatniego dnia rozpraw parlamentarnych półświatek zalał ulicę Fryderykowską, aby demonstracyjnie wyrazić swą wdzięczność za okazaną mu przychylność i pobłażliwość. W długich zielonych płaszczach, obwieszone pasmami łańcuszków i breloków, z grzechotkami w rękach mknęły w powozach kokoty w otoczeniu swej gwardyi przybocznej. Niektóre ściskały się i płakały z radości, 17-letni o fiołkowych oczach podlotek, który dopiero od miesiąca pracował w winnicy Wenery, zaintonował znaną piosenkę: *Seht euch alle um, alle um, alle um, der Roeren geht um, geht um, geht um!* „Cały Berlin“ pochwycił ostatnią strofę, bufetowe w brylantach i szeleszczących jedwabnych sukniach wybiegały z *barów*, śpiewając *geht um*, panowie w cylindrach, zsuniętych na tył głowy, zeskakiwali z wysokich stołków w *barach* i wychylając kieliszki z przyprawionemi mieszaninami, śpiewali *geht um*. Roznosiciel gazety stręczeń, przestawszy wykrzykiwać *Heiraths-Zeitung*, wtórował: *geht um*; bledziutkie dziewczynki, ofiarujące „fiołki, świeże fiołki“ śpiewały *geht um*. A środkiem ulicy kroczył wysoki chudy starzec z trzęsącą się brodą i rozdając gazetę, którą sam redaguje, drukuje i sprzedaje, wołał monotonnym głosem: „Autokrata, czyli sztuka panowania nad sobą!“

H. J.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Skrupuły panny Ludwiki.

Chciałbym, ażeby tak było.

Niedawno spoczęła w grobie z ogromnymi odciskami na języku znajoma mi plotkarka, która więcej nakłamała w ciągu swojego życia, niż tuzin barometrów i adwokatów kryminalnych, której przeto nie powinienbym wierzyć; szczere jednak oburzenie, z jakiem opowiadała mi ten wypadek, każe mi podejrzywać ją, że może wyjątkowo mówiła prawdę. Bo i to było dla mnie przekonywającem, że ani razu nie zaklęła się na swoje dzieci, które bardzo kochała. Otóż ta szanowna posiadaczka *perpetuum mobile* w buzi, wytrząsając swój plotkarski worek przyjaciołce w mojej obecności, wyrzuciła zeń następującą nowinę:

— Ale to wszystko nic, moja droga, wobec szaleństwa Ludki.

— Cóż ona zrobiła?

— Wyobraź sobie, wczoraj oświadczyła stanowczo Bierzyckiemu, że za niego nie pójdzie.

— Dlaczego?

— Żebyś mnie zabiła, nie rozumiem, chociaż tłomaczyła się z godzinę, kiedy na prośbę matki usiłowałam jej wybić z głowy ten ćwieczek.

— No czemże się usprawiedliwia?

— Tem, że niegodna być jego żoną.

— Czyżby coś miała w swojej przeszłości?.. O niczem nie słyszałam...

— Ależ jagnię, a nawet niewinniejsza, niż jagnię, które w owczarni może widzieć złe przykłady. Poprostu wpadła w manię skromności.

— Przepraszam panie za moją ciekawość: kto jest panna Ludka?

— Córka Kęskich — nie zna pan ich?

— Nie.

— Kęska była za młodu prześliczna. O, w pamięci swojej ma ona cały cmentarz: jedni drugim i sami sobie w łby strzelali, jak na wiwat. Podobno nie wszyscy jej wielbiciele byli zrozpaczeni, szeptano nawet o paru szczęśliwych, ale ja jej wówczas nie widywałam, więc ręczyć nie mogę. Upewniał mnie wszakże mój brat stryjeczny, którego przyjaciel szedł za jej rydwanem, że niejaki Norton, Anglik, przechwalał się jej łaskami, chociaż tak złą francuzczyzną, że nikt go nie rozumiał dokładnie. Piękny ptak potrzebuje kosztownej klatki; że zaś panna miała tylko tyle posagu, ile otrzymała od natury, a wymagania duże, czekała na męża dość długo. Już nieco przywiędła, gdy zjawił się przy niej bogaty obywatel ziemski, filozof, poeta, Kęski. Wziął ją bez targu i oporu, bo już na placu niewielu pozostało współzawodników. Po kilku miesiącach upajania się cudnem ciałem, zajrzał do duszy. Od tej chwili skończył się ich dyalog i zaczął jego monolog. Kęski przekarmiał dalej żonę zbytkiem, głaskał ją jak ulubioną kotkę, przezywał coraz pieszczotliwszymi i coraz bardziej lekceważącymi wyrazami, ale między swoje myśli i uczucia tak jej nie wpuszczał, jak kotki między szkło. Gdy im podrosła córka, chciał ją gruntownie ukształcić i sprowadził jej dwie nauczycielki: niestety, jak zwykle, ojciec strzelał, a matka kule nosiła. Ostatecznie Ludka miała główkę bardzo porządnie umeblowaną, ale katedra nie mogła się w niej zmieścić. Przyznam się, że uważałam to za jej szczęście. Bo uczona panna zawsze mi przypomina sarnę w kaloszach. Wielka mądrość sciera z niej urok, którego kobieta tak strzedz powinna, jak cnoty. A Ludka miała bardzo dużo wdzięku i to w najprzedniejszym gatunku.

— Dziękuję pani za objaśnienie.

— Bierzyckiego zna pan?

— Nie.

— No, to jeszcze muszę go przedstawić, ażeby pan zrozumiał, co się stało. Jest to młody profesor uniwersytetu — niemarynowany! Przeciwnie, bardzo przyjemny człowiek i wcale nie wygląda na stary nóż do rozcinania książek. Kęskiemu zdawało się, że zięć, zabrawszy córkę z pod wpływu matki, uzupełni w niej te braki umysłowe, których on wyrównać nie mógł. Dlatego przyjął go odrazu. Matka, zatopiona ciągle w swej urodzie, nie przeszkadzała. Córkę Bierzycki oczarował. Dzięki jemu oświadczyny, zaręczyny, przygotowania do małżeństwa poszły szybko i gładko. Zabrano się do wyprawy: Kęski sypał pieniądze dla jedynaczki hojnie — powiadam państwu słały się jej same róże i puchy. Ślub był naznaczony na przyszłą sobotę. Tymczasem spada grom z jasnego nieba.

— Mówże pani, co się stało?

— Zaraz, zaraz, po kolei. Wczoraj odbieram kartkę od Kęskiej z prośbą, ażebym natychmiast przyszła. Rozumie się —

lecę. Wita mnie strapiona. Moja kochana pani — woła — radź, pomóż, nieszczęście. Ludka zerwała z Bierzyckim... — Dlaczego? — Nie wiem, nie pojmuję, spytaj ją pani sama, ona coś tai... Idę do panny: zastaję ją smutną, ale poważną... Zachodzę ją zdaleka, przysuwam się delikatnie do celu coraz bliżej, łagodzę ją komplimentami, czułościami — nic nie skutkuje... Wreszcie uderzam wprost: czy to prawda, droga panno Ludwiko, że... — Prawda, prawda, nie chcę, bo nie mogę być żoną pana Bierzyckiego—odpowiada. — Dlaczego?— Nie jestem godna... — Ależ to chorobliwy kaprys... — Bynajmniej. Jest to wynik bardzo ścisłego obrachunku z moją przeszłością... — Kochane dziecię, chyba nie wątpisz o mojej życzliwości, wyznaj mi szczerze, jak księdzu, co masz na sumieniu... — Dotąd nic, ale gdybym go poślubiła, miałabym ciężki grzech i straszny wyrzut... — Nie kryj, to ci ulży... Czy jaki drobny romansik... Buchnęła spazmatycznym śmiechem, a śmiała się długo i dziko, jak opętana. Wreszcie rzekła: nie badaj mnie pani, bo naprzód ci nie powiem, a powtóre, gdybym nawet otworzyła ci naoścież moje serce... Czekam przyjazdu ojca, jemu się wyspowiadam, on jeden mnie zrozumie, odczuje, uniewinni. Ta niegrzeczność dotknęła mnie mocno, ale nie zdążyłam jej odeprzeć, gdy do pokoju wszedł Kęski, który świeżo powrócił ze wsi. Córka rzuciła mu się na szyję z gwałtownym płaczem. — Co tobie jest? — zawołał przerażony. — Zostaw nas pani samych — rzekła błagająco do mnie.— Wyszłam, ale pobiegłam do Kęskiej: wraz z nią wsunęłyśmy się po cichu do sąsiedniego pokoju i przyłożyłyśmy uszy do drzwi. Naturalnie oczekiwałam pieprznej tajemnicy, a tu... ach, komedya! Po dłuższem milczeniu, czy też szepcie odezwał się głośniej Kęski:

— Ale ty go kochasz?

— Ach, ojcze drogi, zdaje mi się, że całą mnie wypełnia serce, a całe serce—wypełnia miłość dla niego. I właśnie wiedząc o tem, nie mogę spająć mroku mojej duszy z jego jasnością.

— Strzeż się, ażebyś przesadą nie popełniła dwu krzywd. Czyż do szczęścia ludzi, związanych tak silnem uczuciem, koniecznie potrzeba zupełnie równych rozumów? Różnica, jaka zachodzi między twoim a jego umysłem, nie jest tak wielka, ażeby ci nie pozwalała zrozumieć go w każdym wypadku, należącym do waszego wspólnego życia.

— Nie łudź mnie, ojcze, głębią mojej duszy, bo ja widzę jej rozpaczliwą płytkość. Boleść ostatnich dni nauczyła mnie trochę mądrości. Zresztą jestem głupia, głupia, jak kwiat. Mam w pamięci mizerny zwitek strzępków wiedzy, zebranych bez ładu i związku. Hannibal leży w niej zczepiony z ułamkami dziesiętnymi, słupki roślin z Mickiewiczem, statut Wiślicki z tlenem, a rzeczywiście nie wiem nic dokładnie ani o Hannibalu i Mickiewiczu, ani statucie Wiślickim, słupkach i ułamkach. I ja z taką pustą głową, niewiele zasobniejszą od inteligencyi prostej dziewczyny wiejskiej, mam być towarzyszką życia człowieka ukształconego, profesora uniwersytetu — nigdy, nigdy! Nie sprawię jemu tak bolesnego zawodu, a sobie takiej piekącej hańby.

— Ludeczko, przecież on ciebie zna...

— Nie zna, nie miał czasu zmierzyć nawet mojej małości, a przytem patrzy na mnie zachwyconemi oczami kochanka, marzyciela, widzącego swój promienny ideał a nie ograniczoną kobietę. Wahałam się nad mojem postanowieniem, ale gdy mi wczoraj przedstawił plan swego zamierzonego dzieła, którego wcale nie zrozumiałam, gdy wyraził nadzieję, że będzie ze mną roztrząsał wszystkie zagadnienia, chciałam do niego krzyknąć: nie dręcz mnie tym swoim snem, ja wcale nie pojmuję i nigdy nie pojmę twoich myśli, ja nie wiem, co to jest: indukcya, synteza, prawo ciążenia, biologia, zachowanie energii, dla mnie cały twój język nauki jest obcy. Ja z tobą wcale nie będę rozprawiała, ja będę tylko wdzięcznym uśmiechem zasłaniała moją niewiadomość, dopóki ty jej nie dojrzysz, jak mój ojciec dojrzał ją u mojej matki i dopóki jak on od niej nie odwrócisz się ode mnie ze wzgardliwą pobłażliwością.

— Zauważyłaś to?

— Oddawna, ale teraz dopiero odgadłam powody. Chociaż ty jesteś dla niej dobry i delikatny, ja nie chcę być moją matką, ja nie chcę być zabawką dla mojego męża, jego najprzyjemniejszą rozrywką. To by mnie raniło, oburzało, a nie mając racyi gniewać się o to na niego, wolę dziś sprawiedliwie osądzić siebie. Tak, jestem ładną i ponętną panną, ale jednocześnie nędznym, ciemnym człowiekiem, posiadam to, co szybko przemija, a nie posiadam tego, co trwałe pozostaje. Nie umiałabym dać godnego zadowolenia umysłowi ukształconego człowieka, nie weszłabym nigdy do świata jego myśli, gdzie on przebywałby sam lub z inną, której ja nie miałabym prawa wypędzić, bo nie mogłabym mu jej zastąpić. Ach, jak ja się sobą brzydzę, jak przeklinam to moje niemowlęctwo czy kalectwo duchowe...

— Czyż ja nie usiłowałem...

— Wiem i nie oskarżam cię: byłeś dla mnie najczulszym ojcem, najtroskliwszym opiekunem i nauczycielem. Ale wszystkie twoje starania rozbijały się o poczciwą bezmyślność mojej matki. Kiedy sobie wyobrażę, że ja mogłabym zostać takim złowrogim pancerzem mojej córki — drętwieję ze strachu i zgrozy. Nie, za wszystkie rozkosze miłości, za cenę złamanego mojem postanowieniem życia nie chcę być żoną Bierzyckiego. Powiem mu to szczerze, bez wykrętów i upiększeń. A jeżeli pragniecie koniecznie wydać mnie za mąż, znajdźcie mi takiego samego wypolerowanego głupca, jakim ja jestem — wtedy stworzymy małżeństwo równouprawnione i nędznie szczęśliwe.

— Nie słyszałam słów Kęskiego, bo wypowiedział je bardzo cicho. No, czy to nie rzetelna waryatka?

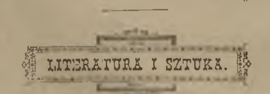
— A ja pani radzę nie rozgłaszać dalej tej ciekawej nowiny, bo ściągniesz pani na siebie zarzut szerzenia plotki.

— Pan przypuszczasz, że ja kłamię?

— Nie, ale przypuszczam, że Bierzycki przekona i poślubi pannę Kęską. Dowiedzie jej łatwo, że kto tak myśli i czuje, jak ona, stoi na progu mądrości.

— Ciekawa jestem...

Poseł Prawdy.



LITERATURA NIEMIECKA.

Paweł Heyse.

Są w literaturze nazwiska, których brzmienie wprowadza nas w pewną bardzo określoną atmosferę, nazwiska, które z pewnym kolorytem, z pewną harmonią barw i tonów, z pewnym nawet krajobrazem zrosły się tak ściśle, jak ze śpiewem słowiczym zrosło się pojęcie wiosny, jak z lilią pojęcie czystości, i jak z cyganem pojęcie tułactwa. Słowik—to z pewnością zapachy wiośniane, cygan — to z pewnością tułaczka.

Heyse — to z pewnością piękne południowe niebo, niebo ciche, bez chmur; to południowe morze, w którem „w rytm wodnych lir płyną ciała perłowe i dźwięczą usta z korali“ — morze bez burz; to uśmiechnięte, kwitnące ogrody, w których marzą o miłości jak sen piękne kobiety; to laurowe gaje, zamieszkane przez białe, marmurowe posągi, które uśmiechają się do siebie nawet przez łzy. To wreszcie miłość sama, idąca z odległych, błękitnem kwieciem zasianych pól romantyki, miłość w szatę z przędzy słonecznej odziana, jasna, bardzo jasna miłość, której płacz nie przeraża, bowiem łzy jej słoneczne szaty osuszą. Heyse — to piękna, a może ostatnia bajka — o życiu.

I życie jego — to może ostatnie życie, które jest prawdziwą bajką.

W 70 roku życia powiada ten człowiek, że jest „dzieckiem szczęścia.“ A szczęście znamy przecież tylko z bajek i tylko w bajkach dobre wieszczki kładą do złotych kolebek cudowną gałązkę.

On ją miał. I dała mu ta gałązka piękność, którą do dziś dnia zachował i którą, podobnie, jak i poezya jego, przenosi wyobraźnię w odległe czasy, między ludzi znanych nam z—obrazków. Heyse *musiał* być piękny i dlatego o urodzie jego wspominam. Koło młodości jego snują się wielkie cienie, oplatają ją świetne nazwiska. Mendelsohn, Varnhagenowie — matka jego bowiem pochodziła ze starej, żydowskiej rodziny Jacobich i wśród Żydów przeważnie miała przyjaciół — Piotr Cornelius, Franciszek Liszt, później Jakób Burkhardt, Fontane, Geibel i Franciszek Kugler. Była to atmosfera sztuki i wysokich wzlotów pod niebiosa. Ojciec był profesorem filologii, człowiekiem uczciwym, poważnym i uczonym; matka była piękna, żywa, niezmiernie inteligentna, w poezyi rozmiłowana, pełna wdzięku i dowcipu, którym zdobiła jeszcze późną starość. Heyse podobnie jak i ten drugi wybraniec losu, podobnie jak Goethe, z którym go zresztą często porównywano, może powiedzieć o sobie:

> Vom Vatter hab' ich die Statur, des Lebens ernstes Führen,
> Vom Mütterchen die Frohnatur — die Lust zu fabuliren.

I temperament odziedziczył po matce zarówno jak i swobodę myślenia o rzeczach wiary i dogmacie — swobodę myślenia wogóle.

Miał i on zostać filologiem — studyował filologię romańską — lecz dobre wróżki nie spały. W marcu 1854 r., dzięki wpływom Geibla, był wezwany do Monachium, gdzie Maksymilian bawarski na sławnych swoich sympozyonach przewodniczył poetom. Właściwie — słuchał poetów. I jest to też jakby nuta z ogromnie odległych czasów, z epoki ozłoconej pieśnią bardów i słowami legendy, coś jakby *Table ronde* wielkiego Artura. Wezwano Heysego, bo był młody, piękny, miał dar mowy i powrócił był niedawno z przechadzki po krainach baśni. W 1849 r. bowiem wydał pierwszy swój tom *Märchenbuch*, przypominający zarówno formą jak i motywami *Jungbrunnen* Eichendorffa. Trzeba przyznać, że na dworze Maksymiliana był tylko poetą, że żyło w nim zawsze pojęcie o godności poety, i że ten sztandar, który rzeczywiście czcił, zawsze niósł wysoko. Czynili to przed nim w Niemczech Goethe i Schiller. I należy cenić, że czynił to jeszcze Heyse, bo „etyka poetów,“ za jego czasów, różnym, przedziwnym uległa zmianom.

I po śmierci Maksymiliana, kiedy rozprzęgła się *Table ronde*, kiedy — jak mówią złośliwi — Ludwik bawarski zagasił łojowe światła, aby jaśniało niepodzielnie słońce Wagnera — i wtedy pozostał już Heyse w Monachium. Fakt ten jest również znakiem dla niego pomyślnym: urodziwszy się w Berlinie, w ponurym, ciężkim parweniuszowskim Berlinie, z którym nic jego jasnej i lotnej duszy łączyć nie mogło, umiał znaleźć sobie ojczyznę. Pokochał i opuszczał ją po to chyba tylko,

aby oglądać nieba, sztuce jego najbliższo— aby oglądać włoskie nieba. W literaturze niemieckiej bowiem Heyse jest odgałęzieniem sztuki włoskiej, *die schmiegsamste Erschliessung italienischer Art in der Kunst*, jak powiada o nim Eryk Schmidt.

I tu w Monachium potoczyło się życie równe, pracowite i szczęśliwe. Równe, bo z zewnątrz nic nie zakłócało jego spokoju— chyba śmierć bliskich. Ale i z nią widać umiał się godzić, gdyż i ten ból przetapiał go najwyżej w głębokie westchnienie, które rozpływało się — w czasie. Tragizmu śmierci nie wyśpiewał nigdy. Potoczyło się życie pracowite, bo 70-letni dziś Heyse napisał 29 tomów, 113 nowel prozą i 18 nowel wierszowanych, 3 tomy poezyj lirycznych, kilka dramatów, nie licząc tłomaczeń i utworów krytycznych. Do dziś dnia z Hermanem Kurtzem i Ludwikiem Laistnerem pracuje nad wydaniem wyboru nowel niemieckich (*Deutscher Novellenschatz*) i ukazujące się zeszyty poprzedza słowem wstępnem. I dlatego może, że było to życie równe i pracowite — było ono szczęśliwe.

Jakże to dziwnie brzmi w czasach, które oglądają „Ludzi bezdomnych"!

A jednak tak jest. I jest to właśnie punkt, w którym rozchodzą się drogi nasze z drogami Heysego, punkt, który powiększając się zwolna, przybrał rozmiary tak olbrzymie, że jest już niemal przepaścią. Po tamtej, po słonecznej stronie stoi Paweł Heyse wśród nimf i menad, a Fornariny, Arabbiaty i Garcyndy wieńczą jego piękną głowę. Uśmiechają się do nas dzieci jego świata i dolatują nas jeszcze odgłosy — z Raju. Ale wszystko to widzimy, jak przez mgłę, przez tę mgłę, która jasnem czyni każde wspomnienie dzieciństwa. Bowiem po tej stronie, po tej ciemnej, bezsłonecznej stronie zostaliśmy sami — z twardem życiem, z bolesną miłością, z rozpaczą, dla której niema już gładkiego, śpiewnego wiersza, wśród brzasków, z których nie wschodzą jeszcze słońca i wśród „ludzi bezdomnych."

Są to dwa różne światy i jest dla nas Heyse już tylko wspomnieniem nieświadomego dzieciństwa.

W r. *1849* pisał *Marchenbuch* i w r. 1900 wydaje klechdy niemieckie. Umie i może to czynić — i tylko *to* może. Z lat, w których rozpoczął swój zawód, zaczerpnął jedynie trochę liberalnego powietrza, które wprowadził na pole miłości. A jednak był wtedy bardzo młody, bo miał lat 19. Dalsze zaś lata przeszły po nim bez śladu — chciał i umiał żyć w bajce. A przez tych 70 lat powstawały liczne myśli, zrywały się wielkie huragany, zwiędły nadzieje tych, którzy razem z nim byli młodzi i nawet Spielhagen napisał *In Reih' und Glied* i nawet Auerbach pisał swoje *Dorfgedichten*.

Heyse zaś był szczęśliwy. *Zawsze* szczęśliwy. I tem jest nam daleki.

W tem szczęściu, które jest istotą jego osoby i jego talentu, zawarte są wszakże i niebezpieczeństwa, o jakie rozbijała się nieraz jego twórczość. Nie znał tragicznych akcentów i nigdy ich z siebie nie wydobył. Wśród jego dramatów ani jeden nie ma stałej wartości. A pragnął sławy dramaturga niezmiernie. Lecz nie uzyskał jej, chociaż jeszcze dziś z pietyzmem grają jego dramaty. To była zemsta — szczęścia. Sam czuł widać, że dramat jest mu ziemią nieznaną, bo dowcipem pokrył otchłań, której nie chciał zajrzeć w oczy, a która oddzieliła go na zawsze od wszelkiego tragizmu. Powiada:

> Leicht ist zweierlei anzufangen
> Liebschaft und ein Buhnenspiel
> Schwerer zum Ende zu gelangen —
> Heikler Scenen gibt's so viel..

Dowcipem posługiwał się zawsze, gdy *mogło* mu być smutno. Tę właściwość jego umysłu charakteryzuje może nawet nieświadomie *Jugend* w zeszycie Heysemu poświęconym. Szło *Jugend* o podkreślenie finezyi Heysego, a uwidoczniła, zdaniem mojem, tylko tę obawę, jaką ma Heyse przed bezwzględną prawdą zewnętrzną i prawdą swojej duszy.

Jeden z interviewerów Heysego wyraża żal z tego powodu, że ten mało zajmował się sprawami kraju.

— Jakże! — powiada Heyse — więc pan nie wie, że to ja wywołałem zaburzenia marcowe?

— Co? Pan?

— Niewątpliwie — ja... w domu mojego ojca, piętnastego marca, w dniu moich urodzin...

Jest to oczywiście rozmowa zmyślona. Lecz jeśli szło o pochwycenie psychologii Heysego, nie można było zmyśleć lepszej. Po dniach marcowych mógł się szczęśliwie prześliznąć tylko— dowcipem. Z krótkiego bodaj zamyślenia wypełzłby czarny cień. A Heyse nie chciał być smutnym— miał instynkt samozachowawczy: dowcipną filozofię, albo też filozofię dowcipu.

Podobnie jak w życiu chwytał jasną i barwną powierzchnię i kochał ją, tak kochał też powierzchnię myśli — więcej, niż myśl samą. I tu dokonał rzeczy niepospolitych. Można powiedzieć, że stworzył formę pięknej opowieści. Wyzwolił opowiadanie z owych ołowianych więzów, jakimi skrępował je Gutzkow i naśladowcy jego. Stworzył nowelę niemiecką i jest to istotnie niemiecki Boccacio.

Tu tkwi jego niezaprzeczona dla sztuki niemieckiej zasługa.

Wprowadził też do literatury typy kobiece, jakich literatura ta prawie nie znała i nie lubiła. Typy erotyczne, tylko do kochania stworzone, niemające nic wspólnego z *Haustugend*, z *Hausfrauberuf* — z garnkiem, fajką i pończochami. Wniósł je do literatury, a że miały prawdziwy wdzięk, więc ozdobiły ją. I sam kochał te kobiety, więc i w opowiadaniach były kochane — co za tem — dobre i uświęcone. Taką pozostaje w pamięci i we wspomnieniu kobieta Heysowska, która jest też niezaprzeczenie Heysowskim dorobkiem artystycznym. Tą kobietą dopełnił harmonii tonów, które wyrażały mu Piękno. .

Gdy zaś myślę nad tem, w czyich barwach wyraziłby można Piękno Heysowskie, myśl i oko poddają mi Siemiradzkiego. Jest to ten sam koloryt, ten sam przepych farb, to samo słońce, ten sam kult dla kształtu i dla kobiecego piękna. I barwy bledną, ścierają się złocenia, tępieją ostrza groźnych dla tancerki mieczów i zostaje piękne, jakby mgłą zasnute wspomnienie jasności, która — była.

Malwina Posner-Garfejnowa.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Taniec szkieletów.

Pan Gabryel Borkman był dyrektorem banku. W piwnicach pod nim spoczywała potęga ubogiego kraju, uśpiona w depozytach. Nieraz zdawało się rzutkiemu dyrektorowi, że ojczyzna jego jest jakąś starą, bezzębną babą, ciułającą grosz do grosza, bank zaś wielką pończochą tej baby, do której składa uciułane grosze. Każde „przeciętne" sumienie byłoby rade, że za takie a takie honoraryum powierzono mu posadę stróża owej pończochy. Ale sumienie Borkmana nie było przeciętne. Inteligencya wyostrzyła mu wzrok, węch, słuch, jednem słowem wszystkie zmysły potrzebne „gründerowi." W łonie skał rodzinnych widział ukrytą głęboko sieć żył kruszcowych, w piersi swej czuł siłę do zorganizowania armii przemysłowej, która pod jego wodzą ruszyłaby ku onym skałom, rozwaliła je, dobyła rudę, wytopiła kruszec, dając miliony jemu i stowarzyszonym, krajowi przemysł, bezdomnym i bezrolnym chleb i dach! A więc? Więc Borkman nie mógł zmrużyć powiek, poświęcił wszystko i wziął się do dzieła. Sięgnął do owej publicznej pończochy i począł „operować" cudzym kapitałem bez porozumienia się z jego właścicielem. W języku prawniczym nazywa się to naruszeniem depozytu, a kodeks karny przewiduje tyle a tyle lat więzienia. Borkman byłby dał sobie radę i z kodeksem i z prawnikami, ale nie mógł dać sobie rady z ludźmi. Donioslości jego planów i wartości, jakie one mogły mieć dla całego kraju, nikt nie ocenił; natomiast każdy urzędnik banku wiedział, kiedy i w jakim stopniu dyrektor przekroczył statuty, instrukcye i pełnomocnictwa. Tych piesków trzeba było wciąż głaskać i rzucać im różne ochłapy, aby nie wyły i nie obudziły czujności „baby," trwożnej o losy swojej „pończochy." Ale pieski stawały się coraz bardziej żarłoczne i z biegiem czasu poczęły im niewystarczać zwykłe ochłapy, rzucane przez dyrektora. Poczęły same naznaczać cenę milczenia, czy też współdziałania. Borkman kochał. Zażądano od niego tej kobiety. Oddał ją, oddał im wszystko, jak człowiek, żyjący wyłącznie dla jednej myśli. Lecz i te ofiary nie pomogły. Borkman chciał po spadzistych górach swej ojczyzny bez szyn, nasypów i tunelów puścić pociąg z lokomotywą parową na czele, o europejskiej szybkości osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Cały ten jego pociąg z takim mozołem obmyślony potknął się o pierwszą niedyskrecyę i runął w przepaść niesławy, wtrącając dyrektora na lat pięć do więzienia, okrywając pyłem hańby jego żonę, jego syna, wszystko, wszystko. . Nastąpiła dla Borkmana śmierć cywilna. Umarł dla świata on, jego żona, owa sprzedana kochanka, a we wspólnym grobie znalazł się i syn, rwący się rozpaczliwie do życia. Po wyjściu z więzienia Borkman-trup zamieszkał wraz z rodziną gdzieś na uboczu. Ale w tym grobie ciszy niema. Coś się tam rusza. Żyje myśl, gorycz, upokorzenie, bunt, pragnienie odwetu. Szkielety ruszają w taniec, usiłując wrócić do życia.

Tu rozpoczyna się dramat Ibsena p. t. „Jan Gabryel Borkman," wystawiony w Rozmaitościach 28-go marca r. b. Zdaje się, że autor przędzie nić akcyi z samych włókien mózgowych. Jest to robota tak subtelna, że chyba zbyt ordynarnym jest dla niej ten kołowrotek sceniczny, warczący dyalogami przez cztery akty. Borkman siedzi już ósmy rok w pokoju „na górze," nie widując się z rodziną, wciąż oczekuje, że społeczeństwo przyjdzie do niego, że błagać go będzie o ujęcie steru interesów banku, który podupadł, że odczuje, co w nim straciło — a on wtedy podyktuje swoje warunki. Ale zamiast społeczeństwa zjawia się nieuznany przez świat poeta, kancelista, lekceważony przez własne dzieci... Borkman uznawał w nim poetę, więc on uznawał w nim nawzajem genialnego przemysłowca... W ten sposób okłamywali się do pierwszego rozdrażnienia. Żona Borkmana czeka poprostu na śmierć męża, syn — na chwilę, w której mógłby się wyrwać w świat żywych z tego gniazda trupów; wszyscy zaś żyją z łaski owej sprzedanej przez Borkmana kobiety, siostry pani Gunhildy Borkmanowej, śmiertelnie chorej, która z kolei kocha syna Borkmana i resztę nielicznych dni swego żywota chce opromienić miłością. Tej posępnej sytuacyi przygrywa „Taniec szkieletów," wykonywany w pokoju „na górze" przez Frykę Foldal, córkę poety-kancelisty.

Niepodobna w ramach recenzyi podać toku tych wszystkich subtelnych zwrotów, z których składa się sztuka; jest to utwór pomyślany niezmiernie głęboko, a zjawia się na scenie naszej w chwili, kiedy nie zagluchły jeszcze echa podobnych kata-

strof na naszym gruncie. P. Ładnowski, jako reżyser, podsunął tę sztukę publiczności chyba ze względów aktualnych. Ibsena u nas dotąd prawie nie ruszano. Rozmaitości wystawiły kiedyś „Norę“ i „Heddę Gabler,“ a trupa amatorów pod kierunkiem Śliwickiego „Cyrankę.“ Dla publiczności jednak były to rzeczy zbyt subtelne i wolała się rozkoszować filisterską moralnością Sudermanna, który w tym czasie święcił u nas formalne tryumfy. Nie przeczymy, że nad Ibsenem wre poważna dyskusya, ale poważna; tymczasem do tej dyskusyi wmieszał się rozbawiony tłum bywalców teatralnych i chciał węzeł Ibsenowski rozciąć szabelką swych upodobań i guścików. Z brzękiem tych szabelek liczyła się niestety przez długi czas reżyserya, i niepotrzebnie, gdyż liczyła się nie w imię lepszych instynktów publiczności, ale właśnie najgorszych. Obecnie jednak, sądząc z wystawienia „Borkmana,“ mamy pewne prawo mniemać, że czyniła to także z innych powodów. Ona Ibsena — nie umiała grać.

Jedynym artystą, który godnie odpowiedział zadaniu, był p. Mieczysław Frenkel. Scena drugiego aktu była zagrana genialnie. Komik sceny warszawskiej przemienił się w aktora charakterystycznego i po raz pierwszy od czasów Żółkowskiego zdarzyło się na scenie Rozmaitości, że komik dał wzór tragikom, jak wzruszać. Frenkel grał z tak fenomenalną subtelnością, a zarazem tak prosto, że odsłonił nam rąbek nowej dziedziny swych uzdolnień. Rola Foldala jest dowodem, że gdyby teatr nasz postarał się o uczciwy repertuar, to Frenkel grą swoją przyćmiłby wszystkich aktorów europejskich, a literaturze dramatycznej oddałby nieobliczalne usługi.

Reszta obsady nie była całkiem właściwa. Wszyscy wszystkiego grać nie mogą; skrzypce nie zastąpią organów, a organy skrzypiec. Najbardziej utalentowany aktor ma prawo nie umieć odtwarzać pewnych postaci.

Nie obyło się, niestety, bez skandalu. Był nim, według nas, występ panny Horwatówny. Nie wiemy, kto odważył się wpuścić ją na scenę, ale była to bądź co bądź odwaga. Publiczność nasza jest cierpliwa, ale do czasu. *A. N.*

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

POWIEŚĆ. L. Godlewska (Exterus): „Dobranc pary.“ Lwów.

— A Potocki: „Martosia i my“ (nowela). Lwów.

— Kaczkowski: „Wybór pism,“ t. VIII „Grób Nieczui.“

DRAMAT. G. d'Annunzio: „Sen poranku wiosennego.“ Okręt.

POEZYE. K. Gliński: „Wybór poezyi.“ Gebethner i Wolff, c. 1 rb. 20 kop.

— Ruskin: „O kobiecie prawdziwej,“ tłom. Józef Jankowski, c. 60 kop. Paprocki.

GOSPODARSTWO SPOŁECZNE. „W naszych sprawach,“ t. II. Zawiera prace Bukowieckiego, W. Grabskiego, Korsaka, Waliszewskiego, Ryxa, Radziszewskiego i A. Potockiego (str. 581), nakł. Radziszewskiego, c. 1 rb. 20 kop.

HISTORYA. M. Dubiecki: „Kudak“ monografia historyczna, wyd. II. Dubowski.

— Szczerbatow: „Rządy ks. Paskiewicza w Król. Polskiem,“ str. 314. J. Fiszer.

— Dzieje powszechne ilustrowane, z. 291—300.

LITERATURA. A. Lange: „Studya i wrażenia,“ str. 297. J. Fiszer.

— Prof A. Raubez: „O miłości.“ Okręt.

JĘZYKOZNAWSTWO. A. Krasnowolski. „Słowniczek frazeologiczny.“ Poradnik dla piszących, str. 288, Kasa Mianowskiego, c. 1 rb.

ROZMAITOŚCI. Dr. J. Polak· „Nauka o szczęśliwości,“ str. 272 i 170, nakł. autora.

— M. Rościszewski: „Figlarz salonowy.“ Zbiór rozrywek kuglarsko-naukowych dla rozweselenia towarzystwa, str. 307. Paprocki.

SPRAWY EKONOMICZNE

OGNISKA PRZEMYSŁOWE *).

We wszystkich prawie guberniach Królestwa Polskiego widać stały postęp w rozwoju przemysłowym. Żywszy ruch w tym kierunku uwydatnia się w latach ostatnich zwłaszcza w guberniach Radomskiej, Kieleckiej i Lubelskiej. Kaliska czeka tylko na kolej, by jej przemysł, i tak dość znacznie rozwinięty i mający wszelkie dane potężnego rozwoju, zadrgał pełnią życia. Głównie jednak przemysł wielki Królestwa skupia się w dwu guberniach: Piotrkowskiej i Warszawskiej, które razem wytwarzają blizko $^8/_9$ ogólnej wartości produkcyi, przy $^4/_5$ ogółu robotników wielko-przemysłowych i $^5/_8$ ilości ogólnej fabryk i zakładów.

Tak z ogólnej sumy wartości produkcyi (w 1895-7 r.), wynoszącej — wraz z przemysłem górniczo - hutniczym — przeszło 350 milionów rubli, na gub. Piotrkowską wypadało przeszło 210 mil. rb., a na Warszawską przeszło 100 mil. Z ogólnej liczby robotników, dochodzącej do 250 tysięcy, na gub. Piotrkowską przypadało z górą 140 tysięcy, a na Warszawską przeszło 60 tysięcy. Z ogólnej zaś liczby fabryk i zakładów przemysłowych — blizko $2\frac{1}{2}$ tysiąca—gub. Piotrkowska miała około 800, a Warszawska blizko 700.

Za niemi dopiero szły gubernie: Radomska (z 10 mil. rb. wartości produkcyi i 12 tysiącami robotników), Kaliska ($9\frac{1}{2}$ mil. rb., i 7 tys. rob.), Kielecka (6,3 mil. rb., 6,6 tys. rob.), Lubelska (6.6 mil. rb., 5 tys. rob.), Siedlecka, Płocka, Łomżyńska i Suwalska.

W tym samym mniej więcej stosunku— z niewielkiemi różnicami—rozwinięte jest skupienie wielko-przemysłowe w osobnych guberniach: gdy w Piotrkowskiej i Warszawskiej dochodzi do znacznych rozmiarów (270 tys. rub. i 180 rob. na 1 fabrykę w gub. Piotrk., a 140 tys. rb. i 90 robotn. na 1 fabr. w gub. Warsz.), znacznie niższą jest w guberniach Radomskiej (71 tys. rb. i 84 rob. na 1 zakł.), Lubelskiej (74 tys. rb. i 56 rob.), Kaliskiej i Kieleckiej, wreszcie nieznaczną rozmiarami w pozostałych 4 guberniach.

Właściwie jednak, nie licząc gubernij mało przemysłowych, przemysł wielki u nas skupia się w trzech dużych środowiskach: w okręgach łódzkim, sosnowickim i warszawskim. Warto przyjrzeć im się nieco bliżej.

Największą wagę pod względem wartości produkcyi i ilości fabryk i robotników posiada okrąg łódzki. Obejmuje on miasta: Łodź, Zgierz, Pabianice, Tomaszów, powiaty: Łódzki, Łaski i Brzeziński. Za centrum tego okręgu uważać należy Łódź, ku której ciąży cały przemysł okręgu, znajduje w niej zbyt swych wyrobów lub zakupuje materyał surowy, dowożony przez kolej Łódzką. Produkcya okręgu, jeszcze w 1870 r. wynosząca kilkanaście milionów rubli, w 1885 r. miała wartość blizko 50 mil. rb., a dziś blizko 150 mil. rb. Liczba robotników sięga 90—100 tys. Jest to olbrzymie siedlisko przemysłu tkackiego — bawełnianego i wełnianego. Inne gałęzie przemysłu rozwinięte są w rozmiarach nieznacznych. Szybki i znaczny wzrost Łodzi, która w 1820 r. była drobną mieściną, rozpoczął się po 1860 roku, zwłaszcza zaś po przeprowadzeniu kolei Łódzkiej (w 1866 r.). Tak w 1860 r. Łódź miała 32 tys. mieszkańców, a wartość jej produkcyi wynosiła 2,6 mil. rb. Po latach osiemnastu (1878 r.) Łódź ma już trzykroć więcej mieszkańców (100 tys.), a wartość jej produkcyi wzrasta 10-krotnie (do 26 mil. rb.); w 1885 r. liczba mieszkańców sięga 150 tys., a wartość prod. 40 mil. rb. rocznie. Wreszcie powszechny spis ludności w 1897 r., wykazawszy w Łodzi 315 tysięcy mieszkańców, postawił ją na piątem miejscu w państwie: po Petersburgu, Moskwie, Warszawie i Odesie. W rzeczywistości zaś, licząc wraz z mieszkańcami przedmieść, ludność Łodzi sięgała 400 tys. osób, (w tej liczbie $^2/_3$ do $^3/_4$, czyli 266 do 300 tys. ludności robotn.); dziś według wszelkiego prawdopodobieństwa cyfra ludności Łodzi znacznie przewyższa 400 tys., może sięga $\frac{1}{2}$ miliona (z przedmieściami). Obszerna działalność fabryczna stworzyła mnóstwo zatrudnień pobocznych i pomocniczych, doprowadziła ilość zakładów handlowych i przemysłowych prawie do 5,500. Ich obrót ogólny — wnosząc z sumy, na jaką obliczono do opodatkowania (1896 r.)— wynosi przeszło 300 mil. rb. rocznie. Samych fabryk i zakładów przemysłowych w Łodzi i w powiecie Łódzkim można naliczyć z górą 400, z produkcyą wartości do 120 mil. rb. (w Łodzi przeszło 100 mil. rb.). Obroty wszystkich banków łódzkich i większych domów bankierskich dadzą się obliczyć na $1^1/_4$ miliarda rb. Historya i wzrost Łodzi znakomicie ilustruje rozwój przemysłu wielkiego w Królestwie, który, „powstawszy z niczego,“ w biegu stulecia dosięgnął bardzo poważnych rozmiarów.

Łódź zasługuje na uwagę z innego jeszcze punktu widzenia. Zwana pospolicie „polskim Manchesterem,“ stanowi ona typ nowoczesnego ogniska wytwórczego ze wszystkiemi cechami ujemnemi, typ miasta, o jakiem Ruskin lub Morris nie mogli myśleć bez dreszczu zgrozy. Jest to miasto bez wszelkich tradycyj kulturalnych, bez wszelkich wyższych aspiracyj ze strony tych, którzy nadają powierzchownie ton jego życiu społecznemu. Nie znajdziemy tych tradycyj i aspiracyj ani w zewnętrznej stronie życia — w architekturze, wygodach i komforcie życia publicznego, ani w jego treści: Łódź nie posiada rozwiniętego życia umysłowego i społeczno-towarzyskiego, jest ona — według słów Hobsona — tylko „obrzydliwem nagromadzeniem budynków fabrycznych i składów towarowych,“ miastem, niezaspakajającem najmniejszych wymagań „przyzwoitego, zdrowego i harmonijnego życia osobistego lub publicznego.“

Obok Łodzi w tym samym okręgu stale i szybko rozwijają się inne ogniska przemysłowe, jak Pabianice, które z miasteczka, liczącego mniej, niż 8 tysięcy mieszkańców (w 1872 r.), stały się miastem fabrycznem o 27-tysięcznej ludności w 1897 r., dalej Zgierz (w 1872 r. 12 tys., w 1897 20 tys. mieszk.), Tomaszów (z 8,600 do 21 tys.), Ozorków itd.

Drugi okręg fabryczny — sosnowicki, różni się od łódzkiego pod względem większej rozmaitości rozwijających się w nim gałęzi przemysłu. Zajmuje on południową

*) Janżułł: „Przemysł fabryczny w Królestwie Polskiem“; R. Luxemburg: *Die industrielle Entwickelung Polens* (1898 r.); „Siły wytwórcze Rosyi“ (po ros.), wyd. minist. skarbu z powodu wystawy w Niżn. Nowogrodzie 1896 r.; „Złota księga przemysłu fabrycznego, handlu itd. w Król. Pol.“ 1898, artykuły: Cukrownictwo (T. Rutkowski); Rys statystyczno-historyczny przemysłu fabrycznego, górniczego i roln. w Król. Pol. przez Wit. Załęskiego; przemysł górniczy, tkacki itd.; W. Załęski: „Królestwo Polskie pod względem statystycznym“; H. Radziszewski: Referat w Sekcyi handlowej o produkcyi rzemieślniczej i fabrycznej w Warszawie. Artykuły, rozprawy, korespondencye, kronika ekonomiczna, informacye itd. w *Wiestniku Finansów*, *Torg.-Promyszl Gazecie*, *Przeglądzie Technicznym* (zwłaszcza górnictwo i hutnictwo), *Prawdzie*, *Głosie*, *Kraju*, *Słowie*, *Kuryerze Warszawskim*, *Wieku* *Gazecie Handlowej*. „Raport Ministra finansów o dochodach i wydatkach państwa na rok 1900.“

część gubernii Piotrkowskiej wraz z pasem pogranicznym pruskim. Należą tu powiaty: Będziński, Noworadomski i Częstochowski, z miastami i osadami: Częstochową, Będzinem, Zawierciem, Noworadomskiem, Sielcami, Sosnowicami i Dąbrową Górniczą. Centrum okręgu, Sosnowice--powstały znacznie, bo o kilkadziesiąt lat, później od Lodzi — po roku 1877, tj. po zmianie taryfy celnej i zaprowadzeniu opłaty cła w złocie. Do obudzenia przemysłu w tym punkcie kraju przyczyniły się nadto: bliskość kopalń węgla kamiennego i połączenie kolei Wiedeńskiej z pruskiemi. W r. 1887 wartość produkcyi przędzalni i tkalni mechanicznych okręgu sosnowickiego wynosi przeszło 8 mil. rb., a produkcyi górniczej — z górą 12 mil. rb., dziś cała da się obliczyć na 80—90 mil. rubli, a liczba robotników na 60—70 tysięcy. Mamy tu przemysł węglowy, metalurgiczny, mechaniczny i wogóle metalowy przetwórczy, szeroko rozwinięty przemysł tkacki (Zawiercie, Częstochowa, Sosnowice), fabryki mebli giętych (Noworadomsk) i t. d.

Pierwsze miejsce atoli zajmuje przemysł górniczo-hutniczy. Wartość produkcyi jego sięga 30—40 mil. rb., a liczba zatrudnionych w nim robotników 40 tysięcy. W należącem do tego okręgu zagłębiu dąbrowskiem skupia się cały przemysł węglowy kraju. Dalej mamy tu szereg kopalń rudy żelaznej, które wydają przeszło połowę ogólnej produkcyi rudy w kraju. Tu również istnieją największe zakłady hutnicze, jak Huta Bankowa w Dąbrowie, stanowiąca zakład wielki w całem tego słowa znaczeniu, zarówno w porównaniu z pozostałymi naszymi zakładami hutniczymi, jak i z podobnymi w Cesarstwie i za granicą; huta „Katarzyna" w Sielcach, huta „Aleksander" w Miłowicach i inne.

Oprócz miast większych tego okręgu — po za osadami, przed paru dziesiątkami lat bardzo drobnemi, dziś zaś stanowiącemi prawdziwe miasta o kilkudziesięciotysięcznej ludności, jak Dąbrowa i Sosnowice — warto zaznaczyć szybki rozrost innych ognisk przemysłu, jak Częstochowa (z 14 tys. mieszk. w r. 1872 do 45 tys. w r. 1897), Będzin (z 6¼ tys. do 21 tys.), Noworadomsk, Sielce, Zawiercie itd.

Wyższym od sosnowickiego pod względem wartości produkcyi rocznej, równie jednak, a nawet bardziej niejednolitym co do gałęzi przemysłu — jest okrąg trzeci, warszawski, z centrum swem Warszawą. Posiada on wielką fabrykę płótna i wyrobów bawełnianych w Żyrardowie (obok stacyi kolei Wiedeńskiej — Rudy Guzowskiej, z produkcyą wartości 8 mil. rubli i 12 tys. robotn.), dużą przędzalnię wełny w w Markach pod Warszawą, kilka innych zakładów fabrycznych, przerabiających bawełnę, wełnę i jedwab; głównie jednak w okręgu warszawskim zogniskował się przemysł mechaniczny i metalowy (Warszawa), cukrowniczy (gub. Warszawska), oraz garbarski i białoskórniczy (Warszawa). Po za tem w Warszawie i gub. Warszawskiej mamy mnóstwo najrozmaitszych fabryk i zakładów przemysłowych.

Zasługują na uwagę dane, dotyczące rozwoju przemysłowego m. Warszawy. Przed laty dwudziestu kilku — w 1871 r. — Warszawa miała 310 fabryk i zakładów przemysłowych, które zatrudniały 6,350 robotników i których roczna produkcya wynosiła 11,7 mil. rb. Od tej chwili do 1898 r. ilość fabryk wzrosła do 486 (o 57%), wartość produkcyi do 68 mil. rb. (6 razy), a liczba robotników 38 tys. (6 razy). O postępach przemysłu wielkiego w Warszawie świadczy charakterystyczny fakt rozrastania się pojedynczego przedsiębiorstwa: tak w 1871 r. na 1 zakład przemysłowy wypadało 38 tys. rb. i 20 robotników, gdy w 1898 r. — 140 tysięcy rb. i 79 robotników.

Fizyognomia Lodzi, jako ogniska przemysłu wielkiego, jest zupełnie wyraźną i określoną. Natomiast co do Warszawy utrzymuje się mniemanie, iż jest ona miastem przeważnie rzemieślniczem i drobnoprzemysłowem. Tak w 1894 r. (według referatu p. Radziszewskiego w sekcyi handlowej) wartość rocznej produkcyi rzemieślniczej wynosić miała około 60 mil. rb. przy 55 tysiącach rzemieślników (majstrów, czeladników i terminatorów), gdy wartość produkcyi wielko - przemysłowej (po odpowiedniem wyrównaniu danych urzędowych) również około 60 mil. rb., a liczba robotników 35 tysięcy. Po bliższem przyjrzeniu się tym danym, widzimy dokładniej ich znaczenie. Przytoczone bowiem dane o produkcyi rzemieślniczej obejmują takie fachy i rodzaje wytwarzania, które w znacznym stopniu stanęły na stopie wielko-przemysłowej, zarówno pod względem skupienia dużych kapitałów, jak i znacznej liczby robotników; ponieważ jednak formalnie objęte są przez ustrój cechowy, zaliczają się tedy — zgoła niesłusznie— do przemysłu drobnego. Ustrój cechowy — to jakby skorupa, pod którą szerokim potokiem wdziera się przemysł wielki, grożąc jej rozsadzeniem. Nie poprzestaje on jedynie na oddziaływaniu z zewnątrz drogą konkurencyi rynkowej, lecz przeistacza dotychczasową jednostkę wytwórczą — warsztat rzemieślniczy — w przedsiębiorstwo wielko - przemysłowe, jakkolwiek formalnie długi czas jeszcze korzystać może z prawnych i społecznych przywilejów formy dawnej. Chcąc wykazać oddziaływanie wielkiej produkcyi na rzemieślniczą, nie można poprzestać na zestawieniu cyfr urzędowych o rozmiarach produkcyi fabrycznej lub rzemieślniczej, lecz zajrzeć należy do wnętrza owej skorupy dla stwierdzenia, jakie tam i w jakiem tempie dokonały się już i dokonywają zmiany. Tak w przemyśle spożywczym, wykazującym 23 mil. rb. wartości produkcyi i kilka tysięcy robotników, mamy dużo wielkich zakładów, np. piekarń o wysokiej wytwórczości i znacznej liczbie pracujących. Istnieją dalej wielkie zakłady szewskie i krawieckie z wartością produkcyi, wynoszącą po kilkaset tysięcy rb. i zatrudniające kilkudziesięciu do kilkuset robotników, a te bezwarunkowo nie dadzą się zaliczyć do rzędu drobnych warsztatów rzemieślniczych. Dalej do przemysłu drobnego najniesłuszniej zaliczono cały przemysł budowlany, kamieniarski, liczne zakłady drukarskie, niemające nic wspólnego z wytwarzaniem drobnem itp.

Nadto zwrócić należy uwagę jeszcze na jeden fakt. Mówiąc o Warszawie, jako ognisku wytwórczem, winniśmy brać pod uwagę zarówno właściwe miasto, jak i otaczające je przedmieścia, które stanowią faktycznie organiczną całość z miastem. Przedmieścia te posiadają sporą liczbę fabryk i coraz bardziej pokrywają się ich siecią, tymczasem formalnie nie są objęte przez statystykę przemysłową m. Warszawy, lecz zaliczane do powiatu Warszawskiego.

Wnosimy stąd, iż Warszawa, pomimo utrzymania się w niej i rozwoju licznych rzemiosł, nietylko nie jest miastem przeważnie rzemieślniczem, lecz jest i coraz bardziej staje się ogniskiem przemysłu wielkiego.

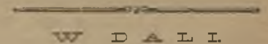
Na zakończenie podamy kilka cyfr przypuszczalnych, które można wyciągnąć co do wartości naszej produkcyi przemysłowej w latach ostatnich — z raportu p. ministra skarbu o dochodach i wydatkach państwa na r. 1900. Jeśli przyjmiemy, że stosunek pomiędzy poszczególnymi działami produkcyi Królestwa a Cesarstwa w ciągu ostatnich lat kilku pozostawał mniej więcej bez zmiany (poprzednio zmieniał się niemal stale na korzyść Królestwa), otrzymamy następujące dane:

Wartość produkcyi *):

	milionów rubli:
Tkactwo	236
Przetwory roślinne . .	90—100
„ zwierzęce .	16—18
Przemysł chemiczny . .	8
„ górn.-hutniczy	30—60
„ metal. przetw.	40—45
Pozostałe przetw. kruszców i szkła	[illegible]
Fabryki różne . . .	10—15
Ogółem	462—497 mil. rb.

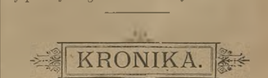
W ten sposób wartość całej produkcyi przemysłowej Królestwa sięgałaby prawie ½ miliarda rubli. Tę samą cyfrę wyprowadził p. Nikodem Krakowski, wnosząc z rozmiarów i wartości produkcyi naszych towarzystw akcyjnych. Jeżeli nawet dla 1897 r. cyfra ta wydaje się nieco przesadzoną, to niezawodnie dosięgła jej produkcya Królestwa w chwili obecnej; weźmy bowiem pod uwagę, że lata ostatnie naogół sprzyjały wzrostowi przemysłu wielkiego. Świadczy to o bardzo poważnem, panującem stanowisku, jakie — na przełomie dwu wieków: stulecia kapitalizmu i militaryzmu i stulecia zagadek — zajął ten czynnik wytwórczy w życiu ekonomicznem kraju.

Stanisław Koszutski.



W DALI.

Lublin. Zarząd lubelskiego Towarzystwa składów towarowych podejmuje się dostawy węgla dla całej gubernii na zasadach komisowych, bezpośrednio z kopalń na rachunek konsumentów. Wszystkie fabryki, z któremi zarząd porozumiewał się w tej mierze, przyjęły wniosek życzliwie i zgodziły się uczestniczyć w tem przedsiębiorstwie. Towarzystwo pobierać będzie trochę więcej niż ½ kop. od puda tytułem komisowego. — Towarzystwo lekarskie gub. Lubelskiej otrzymało rozporządzenie wprowadzenia języka urzędowego do administracyi wewnętrznej, jak: prowadzenia protokółów, kasowości, ksiąg buchalteryjnych itd. Sprawozdania mają być drukowane po rosyjsku, z prawem pomieszczania przekładu polskiego. Podobne polecenie dostała Kasa przemysłowców lubelskich. — W początku czerwca ukaże się pierwszy „Ilustrowany przewodnik monograficzny po Lublinie," opracowany przez jednego z dziennikarzy warszawskich.



KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Zatwierdzono projekt ustawy Towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowego w Hrubieszowie. Jest to już trzecia z kolei instytucya tego rodzaju (jedna w Siennicy Różanej, druga w Irenie). Do stowarzyszenia w Hrubieszowie mogą należeć tylko mieszkańcy tego miasta, którzy wniosą tytułem wkładu 30 rb. rocznie.

— Podług sprawozdania z działalności Towarzystwa sztuk pięknych za rok ubiegły, w r. 1895 było członków 5,370, w r. 1896 — 4,795, w r. 1897 — 4,204, w r. 1898 — 3,713, w r. 1899 — 4,458. Dochód ze składek wyniósł 22,290. Wystawę stałą zwiedziło za biletami płatnymi 18,041 osób; dochód z tego źródła wyniósł rb. 2,407 kop. 70. Specyalne wystawy zwiedziło ogółem osób 18,537, dochód — 1,927. Wystaw specyalnych w r. sprawozdawczym było pięć. Towarzystwo zakupiło do rozlosowania między członków 87 obrazów za rb. 6,355. Sprzedano przy pośrednictwie Tow. 73 obrazy za rb. 9,630. Na zapomogi bezzwrotne dla artystów wydano rb. 200, tytułem pożyczek — rb. 1,360. Do 1 marca r. b. od czasu rozpoczęcia budowy własnego gmachu Tow. wydało na ten cel rb. 93,202. Na ostatniem zgromadzeniu ogólnem przyjęty został wniosek komitetu, dotyczący urządzania przy Towarzystwie wystaw chwilowych (Salonów). Nadsyłane do salonu dzieła mają być przyjmowane i oceniane przez

*) Dane z r. 1897.

jury specyalne z 7 członków złożone (3 z grona komitetu Tow., 4 — wybierają wystawcy).

— Komisya w sprawie alkoholizmu postanowiła starać się w ministeryum skarbu o przyznanie zebraniom gminnym prawa wydawania obowiązujących postanowień co do niedopuszczenia handlu spirytualiami na leżących w ich obrębie obszarach. Następnie komisya ma się starać, aby podobne uchwały sprawdzały najpierw komitety powiatowe trzeźwości, a zatwierdzały komitety gubernialne. Zebrania gminne mogłyby uchwały podobne stanowić na lat dziesięć, a nawet dłużej.

— Ministeryum komunikacyi przychyliło się do podania o przyznanie prawa bezpłatnego przejazdu na kolejach w państwie rosyjskiem lekarzom, studentom i słuchaczkom kursów lekarskich i felczerskich, stanowiącym oddziały ruchome okulistyczne, organizowane do niesienia bezpłatnej pomocy lekarskiej ludności w chorobach oczu.

Odczyt. P. St. Kramsztyk wygłosił d. 27 b. m. odczyt (na dochód osad rolnych) p. t. „Łokciem i miarką.“ Prelegent dał najpierw krótki rys historyczny metod i systemów mierniczych w starożytności i nowszych czasach, następnie zsumował wyniki metod udoskonalonych; wreszcie wyjaśnił znaczenie ścisłości mierzenia.

Filantropia. Zmarły w S. Francisco milioner, kapitan Friedman, zapisał swojemu rodzinnemu miastu, Mitawie, 250 tysięcy franków z przeznaczeniem tej sumy w połowie dla żydowskich, a w połowie dla chrześciańskich zakładów dobroczynnych.

Konkurs. Rozstrzygnięto konkurs krajowy dramatyczny we Lwowie. Pierwszą nagrodę otrzymał S. Friedberg z Dębicy za sztukę „Zmora,“ drugą Wójcicka z Krakowa za sztukę „Dyletanci.“ Zaszczytne wzmianki przyznano sztukom: „Circe“ Rossowskiego, „Ocknienie“ Kazimierza Rakowskiego, „Krystynka“ Ludwika Rybickiego, „Wśród swoich“ Juliana Piaseckiego, „Branka“ Grabowieckiego, „Pokrowcy“ Tarasiewicza. Komisya zaproponowała Wydziałowi krajowemu, aby na przyszłość konkursy dramatyczne ogłaszał co trzy lata na warunkach dotychczasowych.

Wystawy i zjazdy. Dnia 27 b. m. otwarto w Petersburgu wszechrosyjski zjazd rzemieślników.

— W sali ratuszowej otwarto wystawę dzieł W. Wereszczagina, obejmującą cykl obrazów „Z wojny 1812 r.“ oraz znaczną ilość krajobrazów wschodnich i szkiców. O batalistycznych i religijnych obrazach Wereszczagina zamieściliśmy w swoim czasie sprawozdania w listach z Wiednia i Paryża.

Koleje i komunikacye. Z powodu starań o koncesyę na budowę linii Warszawa - Radom główny zarząd kolei skarbowych oświadczył się przeciw udzieleniu koncesyi towarzystwom prywatnym, ponieważ linia ta zaszkodziłaby bardzo interesom finansowym kolei Nadwiślańskich i tylko ta ostatnia może podjąć budowę na rachunek skarbu. (*Kur. Codzienny*).

— Z wiosną r. b. rozpocznie się budowa kolei Tomaszów-Lublin. Zarząd kolei mieścić się będzie w Lublinie (*Warsz. Dniewn.*).

— Zarząd kolei Nadwiślańskich postanowił zniżyć o 3% wynagrodzenie służby — tak zwane wiorstowe.

— *Praw. Wiest.* donosi o utworzeniu zarządu komendantów wojskowych na stacyach: Praga—kolei Warszawsko-Petersburskiej i Lublin — kolei Nadwiślańskiej.

— Budowa kolei Kaliskiej rozpocznie się w r. b. w Kaliszu, Błaszkach i Sieradzu, inżenierowie prowadzą badania przygotowawcze.

Zmarli. Dr. Jan Hofmokl, w Wiedniu, b. profesor uniwersytetu miejscowego, chirurg i publicysta Ur. w Brzeżach.

— Jan Hartmann, w Kopenhadze, najstarszy z kompozytorów duńskich, w 95 roku życia.

— Do dzisiejszego numeru dołączamy w dodatku kwartalnym ark. 7—12 części III-ej dzieła Maksimowa p. t. **Syberya i ciężkie roboty**.

Redaktor i wydawca **dr. fil. A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Марта 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.